№ 6. Rok XXXII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 26 Stycznia (7 Lutego) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

WALC.

BALLADA SALONOWA.

Brzmią tony walca, słodki śpiew
Kołysze, pieści, poi —
Ktoś tam w framudze, pośród drzew,
Blady jak mara stoi.

Oczy mu płoną, usta drżą,
Dłoń kurcz nerwowy targa —
Po twarzy ból mu spływa łzą
I z piersi rwie się skarga.

A pośród blasków, ona... ach!
Wirem przez salon płynie...
Ta, którą widzi świętą w snach,
W tęsknoty swej godzinie.

Tancerz jej kibić ciśnie tak,
W jej twarzy topi oczy...
Szept jego cichy — zguby znak —
Duszę jak robak toczy.

Rumieńce falą biją z lic,
Ćmi się spojrzenie czyste...
Gdzie jest... co czyni? nie wie nic,
Zmiłuj się, ratuj, Chryste!

Oczy mu płoną, usta drżą,
Zazdrość mu piersi targa —
„W cudzych objęciach widzieć ją!"
Szepce bolesna skarga.

„Ten panek... czemu patrzy tak
I mówi coś z uśmiechem?
Ona mu daje główką znak...
Jest mu oddźwiękiem, echem!"

Z rozpaczą głuchą blady pan
Łamie swych palców stawy...
Brzmią dźwięki walca, szumi tan,
Czarodziej, król zabawy.

* * *

Ucichło wszystko, biały cień
Przybliżył się do pana —
Wenus spłynęła z walca brzmień,
Promienna, w czar przybrana.

„Co znaczy w twarzy ból i dąs? —
Słodziutko szepce w ucho —
Czy znów wesoły cię mój pląs
Rozpaczą poi głuchą?"

On chwyta pani miękką dłoń
I wiedzie ją ze sali —
Tętnem mu gniewu bije skroń,
Żalem się oko pali.

„O bóstwo moje, dosyć mi
Piekielnej tej katuszy!
Burzą w mym mózgu walc ten brzmi,
Piekłem się pali w duszy.

„O dosyć, droga... zlituj się!
Straszne te bólu dreszcze...
Aniele, czy ty kochasz mnie,
Czy ty mnie kochasz jeszcze?"

Kaskadę pereł pani śmiech
Rozsypał na te słowa —
Igrał szyderstwem cichych ech,
Śmiała się Wenus owa.

„Ach ty, mój panie, władco mój,
Zabawny w swym wykrzyku,
Widzisz w mym walcu bólu zdrój?
Więc walcuj, zazdrośniku!

„Nie umiesz?... ucz się, łatwa rzecz —
Ja dodam ci ochoty...
Trzeba się uczyć... dąsy precz!
Przeminął już wiek złoty!

„Ucz się... ten śmieszny porzuć dąs...
Ucisz zazdrości zrzędę —
Gdy się nauczysz, pójdziem w pląs
I z tobą szaleć będę."

Floryan.

PODWÓJNE BOGACTWO.

NOWELA

przez

EMJOTA.

— To za zwyczajne, nieestetyczne, kupieckie meble — mówiła do męża pani Zofia Worska, wskazując w swym salonie drogą materyą pokryte kanapy i fotele. — Mniejszą wprawdzie niespodziankę, lecz większą przyjemność sprawiłbyś mi, gdybyś się był mnie poradził, kupując to wszystko. Ramy obrazów tak niemile odbijają od koloru tapet, które znów kłócą się z kolorem mebli i kotar! Dywan też wcale nie wnosi harmonii...

— Bóztwo moje—brzmiała odpowiedź,—wielki to wydatek nanowo dom meblować.

— Nie wszystko przecież trzeba zmienić, a teraz, kiedy zboże tak poszło wgórę i urodzaje sprzyjają... Zresztą nietylko wstyd przed innymi, ale mnie samej przykro patrzeć na tę nową wprawdzie i drogą, lecz zawsze niby zbieraninę.

Innym znów razem, wracając ze spaceru, wbiegała do gabinetu męża ze słowami:

— Mój kochany! Powiadam ci, że mi wprost wstyd pokazać się w alei Ujazdowskiej, wśród tylu pięknych zaprzęgów, w tem naszem landzie. Ani eleganckie, ani modne.

— Dwa lata temu, Zosieńko, razem z meblami kupione.

— Ależ i dziś i w każdej chwili kto nie ma gustu, może kupić sto powozów brzydszych jeszcze. A konie! Wszak bije w oczy, że nie są jednakowej maści, jeden jasno-gniady, drugi ciemno-gniady. Haniebny zaprzęg! Rozumiem, że można czegoś nie mieć, lecz mieć coś brzydkiego!...

Czasem znów lokaje byli źle dobrani.

— Wiesz, Ignasiu, że służba twego wyboru jest niemożliwa.

— Ależ, moja droga, najlepsi ludzie!

— Ale źli lokaje. Walenty już trzeci talerz tłucze podczas obiadu.

— Czyż ci tak o nie chodzi?

— Nie o nie, lecz o przykrość. Na każdy taki brzęk cała drżę, a kiedyś może się jeszcze wydarzyć, że która z dam, naprzykład hrabina Z., zemdleje u mnie.

— To damy jej amoniaku do powąchania.

— Żartuj zdrów. A znów Franiczek doszedł już do takiej doskonałości, że wczoraj gapił się najspokojniej, gdy biedny hrabia Z. mocował się z paletotem.

— Pewny jestem, że ta gimnastyka mu nie zaszkodziła.

— Ależ to jest nieporządek! Omałom się nie spaliła ze wstydu. A co za zarosty u tych ludzi! Nasz dom za jaskinię zbójców wziąć można, ujrzawszy ich.

— Zosiu moja! gdybym tak zechciał ciebie słuchać, musiałbym cały dom dogóry nogami odrazu wywrócić.

— Dlaczego odrazu? Powolnie, wciągu lat trzech, wszystko dałoby się zrobić. Dlaczego wreszcie nie wywrócić go dogóry nogami, jeśli mu z tem będzie ładniej? Gdybyś mi dał *carte blanche*.

— Tobyś mię zrujnowała.

— Mówisz, jak gdybyś sam tylko o dzieciach pamiętał i jak gdybym była wyrodną jakąś matką.

— Wiem żeś najlepszą matką, tembardziej też trudno mi pojąć w tobie tę stałą myśl przerobienia domu jakimbądź kosztem na cacko swego gustu.

— Cóżem winna, że lubię, żeby wszystko wkoło mnie było choć eleganckie, jeśli nie piękne?

— I kiedy ty masz czas myśleć o takich błahostkach, gdyż nie mogę nie przyznać, że dzieci i dom więcej ci go przeciętnie zabierają, niż inne sprawy?

— Mój drogi, czas jest zawsze na wszystko, a teraz, kiedy twoje interesa idą tak wyśmienicie...

Bardzo kochał żonę pan Ignacy, tembardziej go też bolała w niej ta dziecinna namiętność „do błyskotek." „Ta kobieta nie mogłaby istnieć, nie będąc bogatą," — powtarzał sobie często i oddawna, co było u niego wielkiem potępieniem, lubił bowiem zawsze i wszędzie głosić zdanie, że prawdziwy człowiek powinien być zawsze na wszystko gotowym, powinien we wszystkiem umieć wystarczyć samemu sobie, umieć znaleźć w sobie punkt oparcia dla ostania się wobec zmienności losu. Siebie też naturalnie uważał, z racyi niegdyś z wielkim trudem znoszonych niewygód w podróżach i na polowaniach, lub też z racyi męztwa wobec nieznanych ciosów fortuny, lepiej powiedziawszy jej szczutków, za takiego „prawdziwego" człowieka.

— A ona? — myślał tymczasem, — cóżby poczęła bez powozu, gdy teraz wstyd jej w niegustownym ludziom się pokazać, gdy razi ją tak nieznaczna różnica w maści koni? Jakżeby mogła znieść ciężar istnienia bez lokajów, kiedy dziś ich zarost nie typowo lokajski jej zawadza? A przecież wszystko jest możliwe, ceny na zboże jak się podniosły, tak mogą i spaść, wtedy zaś kilka zrzędu nieurodzajnych lat mogłyby mię zrujnować przy prowadzeniu takiego życia, a na zmniejszenie jego skali żona z pewnością nigdyby się nie zgodziła.

Rozumowania te wtrącały nieraz pana Ignacego w ponurą zadumę. Przekonanie, że rodzina jego bynajmniej nie jest przygotowana do wszelakich klęsk materyalnych, wzbudzało tem większe przed niemi obawy, wszystko to zaś, razem wzięte, chorobliwie pobudzało wyobraźnię do wytwarzania obrazów ruiny. Wreszcie zaczęło mu się ona zdawać możliwą, czasem nawet nieuniknioną, mimo to, że interesa znajdowały się w jaknajświetniejszym stanie.

W chwili takiego usposobienia, zaszedł doń raz któryś z przyjaciół i omało go nie przywitał pan Ignacy nowiną, że obie jego wioski zostały stradowane przez wierzycieli, chociaż w rzeczy samej grosza długu na nich nie było.

Kiedy przyszła pora nieskończonych bazarów i przeróżnych damskich czynności dobroczynnych, podczas której pan Ignacy żonę zaledwie parę godzin dziennie widywał, zmarkotniał on jeszcze więcej. Na dobitkę wpadł mu o tym czasie do rąk jakiś romans, w którym kobieta od łyczka do rzemyczka, od rzemyczka do koniczka, od namiętności do strojów przechodzi do romansu z jakąś modną lalką salonową. Po przeczytaniu go z wściekłością pomyślał nagle o kuzynku Alfredzie, który wciąż p. Zofii z wielkiem ugrzecznieniem w owych czynnościach dobroczynnych dopomagał i asystował

A tu tymczasem coraz nowe szturmy o *carte blanche* i kuzynek codziennym gościem.

Biedny pan Ignacy zapadał w melancholią.

— Co ci jest, Ignasiu?— zapytała go raz żona.— Wyglądasz, jakbyś jaką zbrodnię obmyślał.

— Może obmyślam — odrzekł ponuro.

— Porzuć mi natychmiast to obrzydliwe rozmyślanie, każę ci!

— Trudno spełniać wszystkie twoje rozkazy.

— Nie bluźnij! — zawołała żartobliwie a greźnie. — Gdy ja każę, nie powinno być dla ciebie nic trudnego.

I wnet, jak w pierwszym roku po pobraniu się, a minęło ich tymczasem dziesięć, zarzuciła mu ramiona na szyję, zaczęła go całować, przymilała się dopóty, dopóki nie wygładziła się ostatnia zmarszczka na jego czole. Wtedy zerwała się nagle i zawołała, spojrzawszy na zegar:

— Boże, jakżem się już straszliwie spóźniła! A mam jeszcze zajechać po Alfreda.

Pocałowawszy raz jeszcze męża na pożegnanie, znikła, nie przypuszczając nawet, że on po jej odejściu w głębszy jeszcze smutek zapadnie.

Podobne sceny kilka razy się powtórzyły.

Gdyby nie zły nastrój, byłby sobie niewątpliwie przypomniał pan Ignacy, że żona jego nigdy nie była inną, ale umysł, raz na drogę czarnych myśli i podejrzeń pchnięty, nie mógł z niej zejść i rozjaśniał się tylko chyba pod wpływem pieszczot pani Zofii, które jednak potem stawały się nowym źródłem zgryzoty, gdyż zdawały się fałszywemi.

Tak zeszedł tydzień. Pan Ignacy powtarzał sobie wciąż w duchu.

— Trzeba coś robić, trzeba coś robić! — i myślał dalej.

— Wyobraź sobie, mężusiu, żem cię na ogromny wydatek naraziła — zawołała raz p. Zofia, wbiegając do salonu, gdzie mąż czytał gazetę.

— Wyobrażam sobie.

— Zamówiłam suknię u Hersego, ale to, mówię ci, przepyszną! Świeżo sprowadzony materyał, naturalnie na jednę tylko suknię. A drogie to, coś okropnego!

— Wszak tyle już masz tych sukien!

— Nie mogę jednak w żadnej ze starych pokazać się na balu u hrabiostwa Z. Wyobraź sobie tylko, co to będzie za cudna tualeta, stanik...

— Daj mi pokój, moja kochana, ze swemi strojami; nie znam się na tem.

— Powinieneś się znać, mając żonę elegantkę, gdy jednak tak nie jest, nie pozostaje ci nic innego, jak uwierzyć mi na słowo, że jeśli moja suknia nie będzie najdroższa, o co wcale mi nie chodzi i w czem trudno prześcignąć bankierową S. i księżnę W., będzie bądźcobądź razie najgustowniejsza. Zakochasz się we mnie nanowo. Tylko z kilka set rubli...

P. Ignacy zerwał się nagle i wyszedł, pocierając czoło i powtarzając w myśli wieczne: trzeba coś robić, trzeba coś robić!

Nagle przyszedł mu pomysł i natychmiast zdecydował się na jego wykonanie.

Pani Zofia szerokiemi oczyma patrzyła przez chwilę za odchodzącym mężem. Przez myśl jej nawet nie przeszło, ażeby on, mając trzydzieści tysięcy rocznego dochodu, mógł się irytować dlatego, że żona chce być pięknie ubrana na balu, gdzie napewno całe „towarzystwo" się zbierze. Wszak dotychczas zawsze usiłował zgadywać jej zachcianki i kaprysy, za najwyższą przyjemność poczytując sobie ich spełnienie. Nie mogła zrozumieć dziwnej zmiany, widziała tylko, że coś niezwykłego z nim się dzieje.

— Pewno ma jakieś zmartwienia i tai się z niemi biedak przedemną. Muszę się dowiedzieć.

Zapomniawszy o świecie całym, nietylko o sukni, pobiegła za mężem i dopędziła go u drzwi gabinetu; weszli razem, pan Ignacy nie patrzył na żonę i milcząc, zaczął machinalnie przeglądać jakieś papiery na biurku.

Pani Zofia długo śledziła jego ruchy, zapytała wreszcie:

— Ignasiu, co ci jest? Ty coś ukrywasz przedemną?

— Ależ nie, uspokój się, moja kochana!

— Nie uspokoję się, bo widzę, że ciebie coś niepokoi. Nie chciejże być krzywoprzysięzcą!

— Ja, krzywoprzysięzcą?!

— Wszak przyrzekałeś nie mieć przedemną żadnych tajemnic.

— O tak, prawda... ale czyż wszystkie przysięgi zawsze bywają dochowywane? — rzekł nagle z pewną ironią, patrząc żonie badawczo w oczy. A ty sama, czyżeś nigdy przedemną nic skrytego nie miała? — dorzucił z mocą jednym tchem.

— Chyba jakąś drobnostkę— odrzekła po chwili zamyślenia, ale to tak niewinnie i z taką prostotą, a tak szczerze, że p. Ignacemu serce drgnęło.

— Musiałem rozum stracić, żeby ją podejrzywać — pomyślał.

A tymczasem ona:

— Mów więc, a prędko, nad czem tak wciąż medytujesz?

— To nie dla ciebie!

— Wszystko, co cię boli, jest dla mnie, dla mnie! Mów mi zaraz!

— Nie powiem — odpowiedział. Zaczynało mu się zdawać, że ma rzeczywiście coś do powiedzenia i to coś strasznego.

— A zatem od tej chwili wiem, żeś mię przestał kochać, że nie chcesz mię mieć za swą przyjaciółkę, żonę...

— Dajże pokój, cóż znowu!

— Nie mam już prawa wiedzieć o twoich zmartwieniach—kontynuowała ze łzami w głosie, a tych, jako człowiek miękkiego serca, bał się niezmiernie pan Ignacy.

Uczuł on w tej chwili, że złapał się najhaniebniej. Trzeba było koniecznie powiedzieć coś a dla prawdy forma się jakoś nie nawijała, trudnozaś było rzucić wprost: — widzisz, żono, podejrzywam cię o lekkomyślność i małoduszność i wreszcie o romans z kuzynkiem Alfredem. Myśli się plątały bezładnie, a wciąż powracał do głowy zrodzony przed chwilą pomysł. Łzy potoczyły się z oczu pani Zofii.

— Nie płacz tylko, powiem ci już wszystko, powiem!

— Słucham więc — powiedziała, uśmiechając się przez łzy.

— Co mam mówić? — powtórzył w myśli raz jeszcze przyparty do muru.

— Mówże, mów! — nagliła żona, kładąc mu na ramionach ręce. — Chcę wszystko wiedzieć!

Pan Ignacy sam nie wiedział, jak się to stało, że wyrzekł nagle dość tragicznym tonem:

— Interesa poszły mi fatalnie!

— Jest czego się martwić! Wszak z głodu, mam nadzieję, nie pomrzemy.

— Zapewne, jesteśmy jednak zupełnie prawie zrujnowani.

— Zrujnowani? My? — zawołała z przerażeniem p. Zofia, odskakując i załamując ręce.

Ten ruch dotknął go boleśnie; zdało mu się, że żona odsuwa się od bankruta.

— Tak jest — powtórzył ponuro, — jesteśmy zrujnowani.

Nastała długa chwila milczenia.

— Cóż się to stało? — zapytała wreszcie p. Zofia. — Wszak tego roku mieliśmy olbrzymi urodzaj.

— On to właśnie stał się dla nas źródłem klęski.

Nogi pod panią Zofią uginały się, oparła się więc naprzód o biurko, wreszcie osunęła się w fotel.

— Trudno uwierzyć, żeby losy mogły się tak sprzysiądz przeciw komu! W głowie mi się miesza, gdy usiłuję sobie uprzytomnić ten nawał nieszczęść— mówił tymczasem ponuro rozpaczliwy p. Ignacy.

— Nie pamiętam czy zakomunikowałem ci, że miesiąc temu porzucił mnie dawny plenipotent i rządca, przyjąłem więc innego, który sam zgłosił się do mnie z niesłychanie pochlebnemi a, jak się okazało, fałszywemi rekomendacyami od podróżującego naówczas gdzieś po Europie ks. L. Listy te głosiły w rzędzie innych niezliczonych zalet i nieposzlakowaną uczciwość p. Godębskiego, zaufałem więc mu, jak ufałem jego poprzednikowi, nie zmieniając ani słówka w wydanej tamtemu plenipotencyi, i na jej-to mocy oszust zrujnował mię.

Spojrzawszy na śmiertelnie bladą twarz nieruchomie siedzącej żony, p. Ignacy ciągnął dalej:

— Oddawna nosiłem się z jakiemś przeczuciem klęski, nie zdołałem się jednak jej ustrzedz. Tydzień temu otrzymałem telegram, zwiastujący że zabudowania w Wielkiej Wólce spaliły się.

Pani Zofia zerwała się z miejsca.

— Wszystkie zabudowania się spaliły? — zawołała.

— Wszystkie.

— I stodoły?

— Od nich pożar się zaczął.

— I pałac?

— I pałac, i obory, i stajnie i owczarnie, wszystko, wszystko!

P. Zofia załamała ręce. Otrząsnąwszy się jednak po chwili, rzekła.

— Lecz gdzież tu jeszcze ruina? Kapitał asekuracyjny...

— Udałem się natychmiast do biura towarzystwa. Przygotowany byłem do znacznych strat, lecz inna niespodzianka mię spotkała: okazało się, że Godębski skradł pieniądze dane sobie na opłacenie raty asekuracyjnej.

— Boże litościwy!

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Z TYGODNIA.

Karnawał kona.

Był wprawdzie bezużytecznym pasożytem, rezydentem-darmozjadem, który, żyjąc ze stołu bogaczy, i uboższym kiedyniekiedy kęs chleba porywał, a wzamian nie dawał nic, nawet gamy szczerego śmiechu, lub rozrywki z serca płynącej; był ciężarem, a jednak... myśmy z siły charakteru lub konsekwencyi nie słynęli nigdy, wrażliwość raczej była rysem wybitnego naszego usposobienia. Jeżeli też w domu, w którym zwierzę choćby dokonywa żywota, cisza panuje martwa, cóż dziwnego, że cisza ta zaległa również pole naszej społecznej i umysłowej działalności, a na ustach większości spotykamy z ulgą lub smutkiem wypowiadane słowa:

— Karnawał kona!

Czas mu już było położyć się do grobu, bo oto starzec — młody starzec, rzecz prosta, wszak to cecha wieku — zdziecinniał tak, iż polecił w pewnem kółku rozkazy swe na szczerozłotych notować karnetach.

Wytworny ten upominek dla dam, wchodzących na bal, nie zdziwiłby nas wcale w salonach Makay'a lub Vanderbildt'a, lecz u nas, nad nurtami szarej Wisły, wśród nędzy brazylijskiego wychodźctwa i ogólnych westchnień nad biedą, owe szczerozłote karnety, to świadectwo ubóstwa duchowego i zgrzyt przykry, jakim wśród zastoju i ciszy ów konający karnawał żegnamy.

Wdzięczny tymczasem za podrygi „gwiazd" i „królowych," za hołubce „dzielnych, sympatycznych i sprężystych" poczciwy starzec — młody starzec — sypnął nam w testamencie całą garścią darów doniosłych. Sądząc jednak, że my sami jesteśmy najzupełniej wpływem jego zahypnotyzowani i że nieprędko trzeźwość i przytomność odzyskamy, naznaczył wykonawcami testamentu, który dary te niesie, samych... cudzoziemców.

I oto rozpoczyna się ku nam istna wędrówka obcych narodów.

Na czele dąży wystawa osobliwości z Londynu. Czy pan Harry Worster wiezie dużo przedpotopowych okazów — nie wiem, ale że liczy na naszę „przedpotopową" łatwowierność i torowanie drogi innym tego rodzaju angielskiem przedsiębiorstwom, to pewna. Maluczko, a ściągniemy tu cały legion potomków słynnego z wystawowej blagi Barnuma.

Inni zresztą łaskawi cudzoziemcy nie o drobiazgach myślą tylko. Wślad za dessauskiem towarzystwem gazowem, towarzystwo antwerpijskie zakłada u nas pierwszą stacyą elektryczną do oświetlania domów, gmachów, teatrów etc. Jeżeli uzyska monopol, to ty przedsiębiorco, kapitalisto lub inżynierze i elektrotechniku, nie martw się dessauskim gazem i antwerpijską elektrycznością, nie martw się, gdyż monopol ten nie będzie wszechwładnym. Przeciwnie, pozwoli on i tobie jeszcze zająć się światłem, zapalić — w przenośni — pochodnię wiedzy i hymenu, — w rzeczywistości zaś — lampę we własnym pokoju, lub ogień na placach dla marznących wśród zimy biedaków.

Że biedacy ci znaleźliby pracę i zarobek przy krajowem towarzystwie elektrycznem, to inna kwestya, ale antwerpijskie sprowadzi zapewne robotników cudzoziemców. Toż samo uczyni i francuskie przedsiębiorstwo, które ma nam uczynić wielki bazar, halle targowe i cały zakres cudów handlowych. Układy już się toczą, a echo ich zdołało się przedostać do pism przez ostatnie dźwięki karnawałowych polek i mazurów.

— Czy pan pisujesz rachunek sumienia i rozpamiętywania żałobne, czy kroniki? — zapytała mię w tej chwili słodziutko nadobna moja sąsiadka, której mam zwyczaj felietony te odczytywać.

— Ależ pani!...

— Bo jeżeli zamiast zajmować i pociągać, zamiast dostroić się do nas, będziesz złowieszczem krakaniem wieczny stanowił rozdźwięk, to...

— Daruje pani, muszę odzwierciedlać chwilę bieżącą.

— Czemuż więc z niej, pesymisto szkaradny, jaśniejszych nie wybierzesz punktów? Wszak wiesz na przykład, że my, kobiety, żywo się dziś dolą ludu zajmujemy. Patrz, co zrobiono dla niego w ostatnim tygodniu, patrz ile rzeczy zasługuje na podniesienie!

I wyliczała mi z zapałem, na różowych rachując paluszkach. Tu zorganizowano pomoc lekarską dla rzemieślników, której brak bardzo się dawał uczuć oddawna. Tam krzątają się około tanich, bezpłatnych prawie kąpieli dla klas ubogich. Warunek zdrowia i bytu, tak nieodzowny przy ciężkiej ich pracy, a dotąd dla nikogo z wyrobników niedostępny, stanie się niedługo jedną z codziennych potrzeb, szerzących zamiłowanie czystości, zdrowie i ten pewien wykwint, do którego wszyscy mają prawo.

— A widzisz, kruku-pesymisto—śmiała się, nie porzucając rachuby na różowych paluszkach.—Czemuż nie powiesz teraz, jak zamierzamy rozszerzyć działalność niewieścią w skromnem z tytułu Towarzystwie opieki nad zwierzętami? Dziś, gdyśmy ci program nasz i zamiary przedłożyły, czekamy wyrazów zachęty lub uznania...

— Co do zachęty, gotówbym namówić pół Warszawy do zapisania się w grono wasze. Z uznaniem jednak poczekajmy, aż słowa w czyny się zamienią...

— A projekt teatrzyku na Nowej Pradze?

Jak tu rozentuzyazmowanej odbierać iluzye i tłómaczyć, że projekt ten martwi mnie szczerze? Teatr jest wytworem i potrzebą, a zarazem czynnikiem cywilizacyi. Jako taki, powinien przemawiać w imię pewnych ideałów, powinien podnosić lecz nie obniżać poziomu umysłowego i moralnego klas, dla których jest stworzony. Ztąd też teatrzyk na Nowej Pradze, chcąc spełniać zadanie swe, musiałby być dobrze pojętym i prowadzonym teatrem ludowym. Ku temu zaś nie mamy ani środków, ani sił stosownych.

Jeżeli zaś teatrzyk ów ma być przybytkiem pieprznych fars i dekoltowanej operetki, to lepiej stokroć, aby nie istniał wcale. Publiczność, zapełniająca na przedstawieniach Fredrowskich od szczytu do podstaw wszystkie miejsca w teatrze, najlepszą daje wskazówkę gustów swych i upodobań.

Dobrem w tym kierunku usiłowaniem jest konkurs, przygotowywany przez jednego z przedsiębiorców prywatnych. O wartości sztuki oryginalnej, skreślonej dla teatrzyku Wodewilu, ma rozstrzygnąć rodzaj plebiscytu, utworzonego z publiczności uczęszczającej na przedstawienia. Nie przesądzając wartości dzieła, trzeba przyznać zasługę pomysłowi, który powinienby obudzić zajęcie dla twórczości swojskiej nietylko w gronie autorów dramatycznych, lecz i wśród szerokich kół publiczności.

Jeżeli zatrzymuję się nad kwestyą tą dłużej, to poczęści dlatego, by zwrócić uwagę licznego zastępu naszych nowelistek, powieściopisarek i wogóle autorek, iż dwa te konkursa otwierają przed niemi nowe pole działania. W nowelistyce istnieje hyperprodukcya, temu zaprzeczyć trudno. W teatrze, prócz zasłużonego, lecz niezbyt płodnego pióra Mellerowej i paru mniej udatnych prób innych pisarek, nazwisk niewieścich nie spotykamy wcale. Tłómaczono to trudnościami, zrażającemi delikatniejsze od męzkich i przyuczone do pewnych względów natury kobiece... Plebiscyt jednak i konkurs nieustający usuwają przykrości spotykane gdzieindziej, a może wyrobią pożądany talent dla takiego właśnie teatrzyku na Pradze. Kobieta najlepiej powinna rozumieć i odtwarzać maluczkich.

Anatol.

FILANTROPIA KARNAWAŁOWA.

Powiadają ludzie, że bawimy się obecnie bardzo mało. Nigdym się dużo nie bawił, przeto ocenić tego nie potrafię, ale taić nie chcę, że gdzie tylko się obrócę, wszędzie widzę przygotowania do tańców, albo odpoczynek pobalowy, wszędzie słyszę rozmowę o zabawie, a jeżeli są tacy, co nie tańczą i nie bawią się, to niezawodnie serdecznie tego żałują.

Wcale im się nie dziwię!

Zabawa jest tak potrzebna człowiekowi, jak chleb powszedni, jak świeża woda, jak blask słońca wiosennego i... odpoczynek po pracy. Nie bawią się tylko tetrycy i wątrobiarze, samolubni pyszałkowie, albo zdecydowani mizantropi. Kto zaś pędzi dzień Boży na poczciwym trudzie, pożytecznym jest bliźnim i sobie, ten ma prawo odpoczywać i bawić się... wmiarę.

Powtarzam: wmiarę. To znaczy wedle swej pracy i czasu, swoich obowiązków i zdrowia, swojej kieszeni i potrzeby zabawienia się. A kto o tej mierze wiedzieć nie chce, ten się nie bawi, ale zbytkuje, szaleje, traci i szkodzi sobie i ludziom.

Mówię to wszystko nie dlatego, aby łaskawym czytelniczkom powtarzać bardzo oklepane prawdy, lecz by dać im poznać, że wcale przeciwnikiem zabawy nie jestem. A gdy im to już powiedziałem, tedy przystępuję do rzeczy.

Idzie mi o... filantropią karnawałową, tę zacną hipokrytkę, co to po grosz na ubogich wyciąga rączkę w rękawiczce za 8 rubli, zapinanej na szesnaście guziczków, a otrzymawszy jałmużnę, akcentuje zadowolenie ruchem wachlarza z piór strusich, przewiązanego sznurem pereł. Idzie mi o tę miłosiernie surową panią, która obnażonem ramieniem wzrusza z oburzenia, gdy jej mówią o upadku nędzy, a lęka się o delikatne swoje (naturalne) rumieńce, gdy słyszy o wybladłych z głodu licach. Mam na myśli tę wykwintną dobrodziejkę, co na listę ofiar dorzuca papierek, tak właśnie różowy, jak jej cudowna suknia, sprowadzona świeżuteńko z Paryża kosztem takich papierków trzydziestu, o tej słodkiej opiekunce biednych, co w niewyczerpanej dobroci serca gotowa jest pięć nocy zrzędu tańczyć na rzecz... kulawych i opychać swój wątły żołądeczek niezliczonemi porcyami lodów na korzyść... głodnych.

A jednak i takie panie i taka filantropia potrzebne są, tylko znowu wmiarę. Gdy się to często powtarza, gdy się zabardzo naprzykrza i przerabia na jedyny środek pobożnego, miłosiernego łupiestwa, zaczyna być niesmaczne i nawet nieprzyzwoite. Bardzo to niemiła rzecz tańcować tylko na kulawych, jadać tylko na ubogich, stroić się tylko na obdartych i kręcić się po oświetlonych *à giorno* salonach tylko na tych, co nie mają kąta i dachu. To przestaje być zabawą, a jest ciężkim, bardzo ciężkim obowiązkiem, który bywa spełniany bez myśli o celu i z ogromną dozą obłudy.

Przypadkiem dostał mi się do ręki rachunek pewnej pięknej pani, która w tym karnawale tańcowała już pięć razy na cele dobroczynne. Rachunek ten opiewa:

Suknia (*tamtę* miałam już dwa razy). . .	rs.	138
Zarzutka (poprzednią mi skradziono) . .	„	28
Pantofelki	„	7
Rękawiczki (2 pary)	„	12
Wachlarz (*tamten* zgubiłam)	„	22
Kareta.	„	10
Naddatek do biletu (musiałam dać) . . .	„	1
Bilet (musiałam kupić)	„	5
Były jeszcze drobnostki, których nie pamiętam.		
Razem	rs.	223

Ten najautentyczniejszy dokument stał się przyczyną napisania artykułu niniejszego i rozmaitych wniosków, które polecam uwadze swoich czytelniczek. A przedewszystkiem proszę słuchać: na 223 rs. wydatku to, co się dostało do kasy dobroczynnej, jako cena biletu i naddatek, czyni tylko rs. 6, a i z tego przecież część pójdzie na pokrycie kosztów urządzenia balu.

Wiadomo dobrze, że część taka bywa często większą, co znaczy, że przecięciowo zaledwie połowę, to jest rs. 3, liczyć możemy na zysk czysty.

Przypuśćmy, że na balu filantropijnym było tylko sto pań i stu panów, że każda z pań (niewszystkie już miały po dwa razy *tamte* suknie) wydała *à propos* przeciętnie tylko rs. 100, a każdy z panów tylko 25 rs., to razem uczyni bardzo ładną sumkę 12,500 rs. Przypuśćmy że każda z tych osób *musi* dać rs. 1 naddatku (przypuszczam, ale nie wierzę!), to wraz z kosztem 200 biletów czyni rs. 1,200. Ponieważ jednak suponowaliśmy już wyżej, że połowa tylko (i to bardzo szczęśliwie!) stanowić może dochód czysty, to znaczy że z ogólnego wydatku, jaki uczynić musiano gwoli *jednemu* pretekstowi miłosierdzia, ubodzy dostali tylko... troszeczkę więcej niż 5 od sta!

Ponieważ jednak pretekst taki w karnawale nie bywa *jedynym*, ponieważ trafia się z razy dziesięć, przeto prosty rachunek wykazuje, że dla zyskania 6,000 rs. na rzecz filantropii, potrzeba przetańcować, przejęść, przepić i przestroić śliczny kapitalik 125,000 rs.!

Otóż ilustracya najwymowniejsza do przysłowia: „gra nie warta świecy." Podobne to do armaty, w którą potrzeba wpakować centnar prochu, aby wyrzuciła kulę... pistoletową!

Co do mnie, mam silne podejrzenie, że cyfry moich obliczeń są zaskromne i że rzeczywistość znacznieby je powiększyła. Dopisek w rachunku pięknej pani, głoszący: „były drobnostki, których nie pamiętam" jest bardzo znaczący... jak *post scriptum* listu niewieściego, jak tajemnicze słówko, które się zwykle rzuca w wytężone uszko przy pocałunku pożegnalnym. Te drobnostki bywają czasem przedmiotami rozmiarów kolosalnych — ponieważ jednak piękna pani o nich zapomniała, przeto bądźmy dyskretni i... nie wdawajmy się w te sprawy.

Mimochodem tylko powiem, że pewien margrabia paryzki (współczesny najzupełniej), któremu na zapytanie o rachunki z modniarką żona z rozkosznym uśmiechem rzucała w odpowiedzi słówko „drobnostka!" wkońcu roku musiał zapłacić 18,000 franków za same kapelusze, noszone wciągu jednego lata! A przecież ten margrabia paryzki nie jest jedynym na świecie mężem pięknej pani.

Powracając do naszego rachunku, zwracam uwagę czytelniczek swoich na szczegół, który niezmiernie mnie zaciekawił. Co mianowicie znaczą, przy naddatku i bilecie, słowa „musiałam dać" i „musiałam kupić?" Dlaczego piękna pani z takim naciskiem zaznacza i usprawiedliwia swoję hojność, to właśnie co jest aktem, najprostszą drogą zmierza-

jącą do celu filantropijnego? Czy trafia się, że naddatku dać *nie potrzeba*, że bilet przychodzi *bezpłatnie*, jako ofiara galanteryi?

Ależ w takim razie w czem piękne panie przyczyniają się bezpośrednio od siebie do ulżenia nędzy bliźnim? Czy tylko udziałem w zabawie, tańcem, strojem i wdziękiem?

Mój Boże, jakżeż to mało, jak to okropnie mało! Prócz wesołości, uśmiechów, prócz blasku który olśniewa, szału który upaja, ani jednego promyka ciepła serdecznego, ani jednej życzliwej myśli!... To stanowczo zamało, a jeszcze na taki wielki nakład! I doprawdy, błąkałyby mi się po głowie tysiączne domysły hoprokryzyi i fałszu, gdybym nie był pewny niezachwianie, że to tylko najzwyklejsza lekkomyślność.

A jednak tak jak jest, filantropia ta uśmiechnięta, rozbawiona, wyrzucająca za okno rubla, w nadziei że spadający z nim grosz wleci do kalety nędzarza, strojna, wesoła, bezmyślna — jest potrzebna i będzie nią dopóty, dopóki jej kapłani nie dojdą do przekonania, że możnaby kroczyć inną drogą i innemi środkami zdobywać cele. Jest złem na teraz koniecznem, któremu jednak z całej duszy życzyć trzeba, ażeby *być* przestało — jak każde złe. Bo najpierw ten sposób miłosiernego łupieztwa tysięcy dla zyskania groszy jest grubym błędem ekonomicznym, a potem miłosierdzie, które go za środek używa, dyskredytuje się coraz bardziej w pojęciach mas i samo sobie grób kopie. Przyjdzie bowiem czas, iż roztańcowany ogół nie pozwoli sobie mydlić oczów celami filantropii i że zechce tańcować na swój własny rachunek, za tego ostatniego piątaka, który mu ona pozostawi...

Maryusz.

POLYHYMNIA.

V.

Największymi wrogami koncertów są u nas święta wszelakiego rodzaju, lub też karnawał.

Kto zna życie Warszawy, temu nie ujdą zpod uwagi krzątanie się i przygotowania do uroczystego obchodu Bożego Narodzenia. W owym czasie widzi się tylko na ulicach osoby dźwigające większe lub mniejsze paczki, a z twarzy ich wyczytać łatwo myśl, trapiącą wszystkich, a obracającą się koło jednego motywu. Jest-to — miły zresztą — niepokój, czy wybrany podarunek spodoba się temu, dla kogo został kupionym?

W takim-to stanie umysłów dziwić się nie można pustym salom koncertowym i teatralnym.

Życie publiczne ustępuje wobec rodzinnego, a żadna pora nie nadaje się tak dobrze do skupienia się przy ognisku domowem, jak te kilka dni poświęconych pamiątce przyjścia na świat Zbawiciela.

Mamy bowiem podówczas najdłuższe wieczory i najgorszą pogodę, o czem każdy wie dobrze z doświadczenia; bardzo tedy chętnie przekłada się ciepły pokój i swobodę ubrania nad szukanie wątpliwych nieraz przyjemności poza domem, narażające na niezbyt miłe przeziębienie.

Co do karnawału, to rzecz inna. Lubimy muzykę, lecz przenosimy nad nią taniec i chętnie poświęcamy swoje wygody, a nawet i zdrowie, byle się tylko zabawić. Precz więc wszystkie popisy estradowe! Uciekajcie przed wszechwładnym kadrylem i nie męczcie nam uszu, bo już nogi nasze porządnie są zmęczone!

Przez kilka ostatnich tygodni wygląd sal koncertowych niczem się nie różnił od wyglądu z lat poprzednich w tymże samym czasie. Przeważnie było pusto; opróżnione krzesła melancholijnie spoglądały na wstępujących na estradę artystów, jakby mówiąc:

— Patrzcie! to tak zawsze bywa, gdy ludzie postanawiają robić z nocy dzień poto, aby naodwrót życie prowadzić i spać dzień cały.

Nawet tak rozgłośnej sławy fortepianistka, jak p. Carreno (czytaj Karenio) nie doznała lepszego losu, bo wystąpiła na symfonicznym koncercie teatralnym i zgromadziła ze trzy setki zaledwie słuchaczów. Zentuzyazmowała ich wprawdzie, ale dziś, tak jak i przedtem, nie jest u nas znaną ogólnie, bo chcąc dojść do tego, trzeba wystąpić w kilku koncertach przepełnionych publicznością tak, jak na przykład w roku zeszłym Raisenauer.

Nie mam zamiaru bawić was, a raczej nudzić opisywaniem zalet gry p. Carreno, bo co wam z tego przyjdzie? Choćbym nie wiedzieć jak plastycznie mówił o „tytanicznej sile i miękkości" (co za zestawienie!) lub o „powiewnych biegnikach" i o paluszkach przebiegających klawiaturę od końca do końca, nawzór owego jeźdźca, o którym mówi poeta:

„Ej ty na szybkim koniu" i t. d.

choćbym tedy, mówię, dobrał wszystkich kwiatów wymowy, to i tak nie słysząc artystki, nie nabierzecie o jej grze żadnego wyobrażenia.

Artystka grała znakomicie, a koncert Webera w układzie Liszta wykonała nawet nieporównanie. Wszelako po wspaniałej symfonii Beethovena nie zdołała nikogo przekonać, mimo świetnej interpretacyi, do koncertu Griega. Zestawienie tych dwóch dzieł musiało wypaść na niekorzyść norwezkiego muzyka, boć chuda szkapina nie może dobrze wyglądać przy rasowym folblucie.

Grieg jest chory i chorobliwy, mimo niezaprzeczonego talentu. Miewa ładne myśli, ale nie umie ich wiązać w jednolitą całość, a prócz tego zanadto silnie dmie w dudkę skandynawską i z tego powodu melodye w jego utworach grzeszą monotonnością i wyrafinowaną manierą.

Już to od pewnego czasu zauważyć się daje brak krytycznego poglądu w wyborze dzieł do koncertów symfonicznych, a nigdy jeszcze tak jaskrawo nie wystąpiła ta niepojęta lekkomyślność, jak tym razem.

Na zakończenie bowiem koncertu, mającego pretensyą należeć do najpoważniejszych i najpierwszorzędniejszych, dano ***Divertissement*** na orkiestrę utworu znanego kompozytora Lalo, który jednakże w tem dziele, powiedzmy szczerze, grubo się skompromitował.

Nazwać ten utwór słabym—to mało i zbyt łaskawie. Nie! nie jest słabym, ale śmiesznym taki obraz wysiłku niedołęztwa. ***Divertissement*** miało wielki sukces... śmiechu, bo istotnie większość słuchaczów i wasz pokorny sługa nie mogli wstrzymać objawów szczerej wesołości, przy wykonywaniu tego bzdurstwa.

Co skłoniło kapelmistrza do wystudyowania owego „dzieła," dlaczego po pierwszej zaraz próbie nie cisnął w kąt partytury?—pozostanie dlamnie wieczną zagadką, nad której rozwiązaniem napróżno się wysilam.

Wolę już konsekwencyą na przykład takiej śpiewaczki jak Lucca; bo w wyborze pieśni i aryj, danych nam w dwóch koncertach, starała się utrzymać w granicach smaku dobrego i we właściwości swego głosu. Dlatego więc mimo wejścia już w te lata, w których trudno jest żądać świeżości głosu, dała jednakże słuchaczom szereg wrażeń artystycznych.

Ze wszystkich nowin muzycznych najciekawszą jest zapewnienie o mającej się wystawić i u nas jednoaktowej operze p. t. „Cavalleria Rusticana," młodego Włocha imieniem Mascagni.

Jest-to istotnie wypadek może jedyny w dziejach muzyki, ażeby opera jednoaktowa zdołała zwrócić na siebie uwagę całego świata. Nietylko bowiem we Włoszech „Cavalleria" święciła tryumfy, gdyż i w kilku miastach niemieckich wystawiono ją z wielkiem powodzeniem. Nieznany jeszcze przed rokiem, kompozytor jest dziś w ustach wszystkich i doprawdy, aż się o jego przyszłość lękać trzeba, gdyż niebezpiecznem jest dla młodych talentów zbyt nagłe powodzenie; często w następstwie okazywało się, że na coś lepszego już ich stać nie było.

Czy Mascagni rozwinie się na szerszą miarę, o tem trudno dziś wyrokować, lecz zaprzeczyć nie można, że w operze swej złożył dowody wielkiego talentu i umierającej muzyce włoskiej dał nowe tchnienie, które ją może na nowe pchnie tory. Mam tu na myśli kierunek ludowy, dotąd zupełnie prawie zaniedbany przez maestrów dramatycznej muzyki włoskiej.

Zdaje mi się, że w tej właśnie „ludowości" leży tajemnica powodzenia „Cavallerii," treść której wziętą jest z życia wieśniaków sycylijskich, poetycznych z natury i posiadających niemałą dozę rycerskości w swych uczuciach.

Na tem tle dramaturg włoski Verga, z którego przerobiono libretto, daje prosty, ale wzruszający dramat, rozgrywający się między dwoma wieśniakami, przyjaciółmi serdecznymi. Jeden z nich, Turiddu, zbłądził wszakże, uwodząc niegodziwie żonę swego druha, za co wyzwany staje do walki poto, aby się nie bronić i... zginąć. Dobrowolną tedy śmiercią chce zmazać winę i zmazał ją bezwątpienia, tak przynajmniej utrzymuje każdy widz i słuchacz.

Na tle tej prostej treści muzyk rozwinął charakterystykę postaci wyborną. Jego chóry wieśniaków tchną sielskością i są dalekiemi od wszystkich znanych wam tak dobrze chórów mieszczan, strzelców, żołnierzy, zbójców i t. p., któremi szablonowo rozpoczynają się opery włoskie.

Piosenki głównych bohaterów są również dosadne i utrzymane w charakterze właściwym, a gdzie trzeba użyć silniejszego akcentu dramatycznego, tam widnieją błyski zdradzające rozmach. Szczerze wyznaję, że w kilkunastu numerach tej jednoaktówki nie napotkałem wcale śladów znanej trywialności operowej, od której nie są wolni ani Bellini, ani Donizetti, ani też i Verdi. Wszędzie jest dążenie do wyszlachetnienia, a czasem nawet do wykwintności.

Dzisiaj we Włoszech jest wielka posucha na kompozytorów istotnie utalentowanych, na dowód czego dość przytoczyć okoliczność, że coroku wystawiają włoskie teatra dwadzieścia lub trzydzieści oper nowych, które bezpowrotnie upadają.

Nie łudźmy się także co do Boïta, którego Mefisto narobił hałasu przed pewnym czasem. Jest-to człowiek pełen aspiracyj, ale bez talentu. Stworzył dzieło z wysiłkiem nieopisanym, to też tą wymuszoną pracę czuć w jego operze, ale nadaremnie

szukać w niej natchnienia, bo to jest udziałem kompozytorów „z Bożej łaski.”

Zjawił się także i drugi twórca operowy, Franchetti, i narobił również hałasu, dzięki milionom swego ojca, najbogatszego bankiera w Italii. Opera jego „Asraël” zaczyna obiegać sceny, ale jak dotąd, powodzenie jest problematycznem.

O ile więc więcej musi mieć talentu Mascagni, jeżeli ubogi i nieznany wszedł w szranki bez reklamy i zwyciężył.

Oby tylko nie zawiódł w przyszłości położonych w sobie nadziei!

Zygmunt Noskowski.

MISERERE.

LEGENDA HISZPAŃSKA

Becquera. (*

Mieszkając czas pewien w miasteczku Y., przedsięwziąłem wycieczkę do sąsiedniego klasztoru, wcelu zwiedzenia i obejrzenia słynnej biblioteki, z jaką uprzejmi ojcowie pozwolili mi się zapoznać.

Zajęty przeszukiwaniem starych ksiąg i manuskryptów, pewnego dnia spostrzegłem walające się w pyle kurzawy, przesiąkłe nawskróś wilgocią, dwie czy trzy partytury muzyczne.

Było to „Miserere.”

Jako amator, a poczęści i muzyk, zacząłem z chciwością przerzucać manuskrypt i z niemałem zdziwieniem spostrzegłem na ostatniej jego stronie łaciński podpis *Finis*, choć „Miserere” nie było skończone. A zamiast zwykłych włoskich „Maestoso,” „Allegro,” „Ritardando,” „Piu vivo,” „A piacere,” ekscentryczne: „chrzęst kości,” „krzyki rozpaczy,” „szum powietrza... i całunów,” akorda „jęku,” „szloch ludzkości,” „kościotrupy,” „ogień piekielny.” Potem oryginalniejsze jeszcze: „Metaliczny dźwięk wszystkich instrumentów świata,” „Niebios harmonia,” „Siła .. siła,” „Bezmiar miłości.”

— Przez litość, cóż to wszystko znaczy?! — spytałem z podziwem i zaciekawieniem towarzyszącego sobie starca, kończąc odczyt wyrazów, kreślonych zapewne ręką waryata.

Wtedy starzec zaczął opowieść swoję.

I.

Wiele lat już minęło od chwili, gdy pewnej zimowej i wilgotnej nocy do drzwi monasteru zapukał podróżny, prosząc o nocleg, kawałek chleba, możność osuszenia zmokłej odzieży i doczekania świtu, ażeby, wypocząwszy, iść dalej w drogę. Gościnny zakonnik ofiarował mu swą skromną wieczerzę i skromniejsze posłanie, pytając o cel podróży.

— Jestem muzykiem — odparł. — Urodzony w dalekiej ziemi, kiedyś zażywałem sławy, artyzm mój miał siłę porywającą, budził zapał w słuchaczach, wylewając w grze rzar uczucia wzniosłe, święte, to znów upadłe, zbrodnicze. Siła namiętności i demonicznej pychy miotała mną, podnosząc ku niebu, lub nurzając w przepaści. Jak widzisz, siwiejąca skroń moja nie znalazła dotąd spoczynku. Miotany żądzą pokory i pokuty za żądzę pychy, przebiegam świat z myślą przejednania nieba.

Zaciekawiony temi słowami, zakonnik zadał mu jeszcze kilka pytań, a wędrowiec mówił dalej:

— Z głębi duszy opłakiwałem popełnione winy, lecz żal ten snać nie był dosyć wymowny przed Panem; wyrzut, wieczny wyrzut tkwił w mem sumieniu. Aż kiedyś wzrok mój spotkał się z Psalmem Dawida, zaczynającym się od słów: „Miserere mei Deus.” Krzyk ten olbrzymi przejął mnie nawskróś. Od tej chwili duch mój, przepełniony echami tego jęku, szukał wciąż sposobu wylania w tonach ogromu boleści, którąby potęgą i majestatem odpowiedziała bezmiarowi żalu króla proroków. Lecz dotąd szukam daremnie. Ogień myśli pali mnie, promienie jego łamią się w tysiączne niepochwytne pryzmata i jestem blizki rozpaczy strąconych aniołów, rozdzierających bez końca niebo swym krzykiem „miłosierdzia!”

To mówiąc, urwał i zamyślił się. Opuścił głowę na piersi i ciężko westchnął.

Po niejakiej pauzie, zaczął znów mówić, ale spokojniej:

— Przebiegłszy Niemcy, całe Włochy, owę ziemię religijnej a klasycznej muzyki, nie usłyszałem nigdzie „Miserere” mej duszy, choć zdaje się, że je słyszałem wszystkie.

— Co mówisz, wszystkie? — przerwał siedzący u klasztornego ogniska pastuszek. — To być nie może! Nie słyszałeś jeszcze „Miserere” gór!

— „Miserere” gór?! — powtórzył muzyk zdziwiony. — Człowieku, o jakiem to „Miserere” mówisz?!

— Jest to „Miserere” — ciągnął tajemniczo pastuszek, — słyszane tylko przez pasterzy, przebiegających dniem i nocą z trzodami swemi góry i doliny, a z „Misererem” tem łączy się straszna, nadziemska, choć prawdziwa historya. W głębi doliny, jaką otacza ten łańcuch biegnących zdaleka gór, są ruiny starożytnego klasztoru. Klasztor wzniósł pewien wielki bogacz, za pieniądze z których wydziedziczył własnego syna. Przeklęty przez ojca i jak szatan potępiony, syn ten, widząc swą fortunę w ręku zakonników i zamek zamieniony na klasztor, poprzysiągł im zemstę. Stanąwszy na czele rozbójników, pewnej nocy, a było to w sam dzień wielkopiątkowy, w chwili kiedy zakonnicy odśpiewywali w chórze „Miserere,” wpadł do świątyni Pańskiej, zakonników wymordował lub ze skał kazał pospychać w przepaść, a pod klasztor podłożywszy ogień, rozświetlił nim obraz strasznego zniszczenia. Po tej okropnej wyprawie rozbójnicy z wodzem swoim zniknęli bez śladu. Tylko nagie mury klasztoru, niezniszczone ogniem, ani strawione przez czas, stoją dotąd na urwiskach, w miejscu gdzie wytryska źródełko staczające wody ze skały na skałę, które wyżłobiło łożysko małej rzeczułce, otaczającej ruinę wstęgą.

— Lecz mów o „Miserere!” — przerwał zniecierpliwiony muzyk.

— Słuchaj, a zaraz będzie i o niem. Okropny ten występek przejął zgrozą okolicę całą. Każdego zimowego wieczoru opowiadano sobie o nim, podając szczegóły z pokolenia w pokolenie, aż z ust do ust powtarzane doszły do dni naszych z taką prawdą i jaskrawością krwi i płomieni, że zdaje się, jakby się to stało wczoraj, utwierdza zaś wiarę okolicznych mieszkańców to, że corok, w samę rocznicę tego straszliwego wypadku, w wyszczerbionych oknach kościoła widać światło płonące i słychać coś na podobieństwo śpiewu, czy grania, coś niezrozumiałego, bo niepodobnego do naszych śpiewów i muzyki. Słychać tam dzwony podziemne, jęki pokutne, zmieszane z wyciem wichru. Ludzie utrzymują, że to pomordowani bracia wychodzą z grobów i wzywają litości Przedwiecznego, śpiewając „Miserere.”

— I cud ten powtarza się dotąd?! — spytał ciekawie podróżny, którego palące oko błysło nadziemskim wyrazem.

— Cud ten zacznie się nie rychlej, ani później, jak za trzy godziny. Dziś właśnie Wielki piątek, straszna rocznica wypadku, a godzina ósma tylko co wybiła na klasztornym zegarze.

— Jak daleko ztąd do ruin?

— Półtorej godziny drogi. Ale co czynisz? Dokąd się wybierasz w noc tak straszliwą?! — pytano, widząc, że podróżny wstaje z miejsca, chwyta laskę i zmierza ku drzwiom.

— Dokąd idę?! Idę słuchać tej cudownej muzyki boskiego „Miserere,” śpiewanego przez duchy, wiedzące co grzech... i co śmierć.

To mówiąc, znikł za drzwiami, ku wielkiemu zdumieniu przytomnych.

II.

Wiatr jęczał, wstrząsając drzwiami, jakby je chciała jakaś tajemnicza moc wysadzić. Deszcz lał, uderzając w szyby okien, cochwila błyskawice przerzynały niebo.

Po pierwszej chwili zdumienia, zakonnik zawołał:

— Szaleniec!

— Szaleniec! — powtórzyli pasterze, otaczający ognisko.

Po dwugodzinnej drodze, tajemniczy podróżny dążąc brzegami źródła, zbliżał się do olbrzymich, ponuro rysujących się ruin klasztoru. Deszcz przestał padać, poszarpane chmury pędziły z siłą wysoko, przepuszczając gdzieniegdzie jasny, niepewny blask nieba. Powietrze, przedzierając się w zagięcia i szczeliny nagich i pustych murów, smutno jęczało.

Lecz z tem wszystkiem nic nadzwyczajnego, nadziemskiego nie uderzało wyobraźni przychodnia. Cały ten tajemniczy szept natury zdawał mu się dawno znanym, łagodnym, jemu, który niejednę chwilę życia przepędził już na opuszczonych ruinach, w odludnych, dzikich okolicach.

Krople deszczu, spadające wolno i miarowo na wyżłobione kamienie i granity, podobne były do idącego zegaru. Krzyk sów ukrytych w lochach rozwalonych figur coraz był głośniejszy, wreszcie płazy zbudzone grzmotem z długiego letargu powysuwały swe niekształtne główki i zaczęły czołgać się pomiędzy gruzami u stóp ołtarzy, lub we wklęśnięciach grobowców.

Siedząc na płycie grobowej i wyczekując chwili cudu, podróżny wsłuchiwał się ze spokojem w cały ten ogrom nocy, samotności i dziwnych, tajemniczych szeptów.

Czas upływał, nic nie przerywało ciszy. Głosy natury zmieniały się, mieszały, lecz zawsze te same.

*) Mało znane imię G. Becquera zniewala nas do kilku słów wyjaśnienia. Był on synem znakomitego malarza hiszpańskiego ze szkoły sewilskiej. Zamłodu przeznaczono go do stanu kupieckiego, lecz fantazyjny duch popchnął go do szukania chwały i fortuny w czarujących snach poezyi. Zyskał sobie wzięcie w literaturze ojczystej, ale tylko wzięcie, bo majątku nie zdobył nigdy i umarł w ubóstwie w r. 1870.

— Czy to omyłka? — zawołał muzyk.

Ale w tej właśnie chwili nowy uderzył go szelest, szelest niesłyszany dotąd, podobien do brzęku zegara, zanim on wybije godzinę, do oddalonego turkotu kół, to znów do trzeszczących i rwących się sznurów, do jakiejś siły mechanicznej, poruszającej się ponuro, a po tem wszystkiem rozległo się uderzenie dzwonu: raz.., dwa... trzy!...

A przecież w zrujnowanej świątyni nie było ani dzwonu, ani zegara, ani wieży żadnej!

Ostatnie uderzenie drżało jeszcze w powietrzu, gdy granitowe stropy klasztoru, marmurowe stopnie ołtarzy, czarne kolumny, białe rzeźby, mozajki, festony, cała nawa kościelna naraz oświetlona została, choć podróżny nie spostrzegł żadnej lampy, ani pochodni, rozlewającej to nadzwyczajne światło. Wszystko się poruszało poruszeniem galwanicznem, będącem w sprzeczności z życiem, poruszeniem okropniejszem jeszcze, niż bezwładność trupa. Rozrzucone kamienie skupiały się z sobą. Szczątki zawalonych ołtarzy wyrastały pod sklepienia i wjednej chwili zburzone kaplice i olbrzymie wiązania naw sterczące fantastycznie złączyły się w jednę labiryntową całość.

Skoro świątynia została jakby odbudowaną, dał się słyszeć daleki, lecz napełniający powietrze szum. Były to odległe, zmieszane, pełne powagi głosy, które, zpod ziemi wychodząc, wzbijały się wyżej a wyżej.

. . . .

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Piśmiennictwo.

Bardzo cennym nabytkiem dla naszego piśmiennictwa naukowego jest świeżo wyszła zpod prasy **„Historya filozofii greckiej,"** napisana przez księdza Pawlickiego, niegdyś profesora b. Szkoły Głównej.

Tom pierwszy, który mamy przed sobą, zawiera dzieje badań filozoficznych do Arystotelesa, z kilkoma rozdziałami wstępu, w których jest mowa o początku filozofii greckiej, o jej bibliografii, o jej znaczeniu, definicyach, a wreszcie o podziale jej dziejów na obrazy. Dawniej było ich tylko trzy, ksiądz Pawlicki jednak dzieli okres trzeci dawniejszy na dwie części, z których druga (od Arystotelesa do VI wieku po Chrystusie) stanowi okres czwarty. Jestto nowość autora, który nie pod tym jednym tylko względem jest samodzielnym i oryginalnym. W rozdziałach o pojedynczych filozofach (na przykład Heraklit i Pitagoras) ks. Pawlicki mozolnie a syntetycznie odbudowuje ich systemy z rozproszonych okruchów dzieł, dając o nich czytelnikowi pojęcie tak mniejwięcej całkowite, jakiego miećby nie mógł ze źródeł i badań dotychczasowych.

A wszystko, o czem mówi autor, traktuje ze stanowiska wysokiego, jak człowiek dla którego poza prawdami naukowo stwierdzonemi są inne jeszcze, co się nigdy stwierdzić i poznać nie dadzą, chociaż istnieją niewątpliwie. Ten charakter badacza sprawia, że w pięknym obrazie dziejowym snuje się subtelna a najszlachetniejsza niteczka idealizmu, ożywiająca nieraz suchą zkądinąd materyą.

Nadto książka ks. Pawlickiego pisana jest językiem potoczyście wspaniałym, stylem pięknym i jasnym, ani na chwilę nieprzeciężonym ową erudycyjną terminologią, która najczęściej najciekawszym nawet czytelnikom dzieła filozoficzne z rąk wytrąca.

Rz.

Uwaga. W rubryce niniejszej na przyszłość będziemy pomieszczali wzmianki o tych tylko książkach, których wydawcy raczą je nadsyłać pod adresem redakcyi „Tygodnika mód i powieści."

Z chwili bieżącej.

* **Jubileusz kawalerski.** Niema nieszczęśliwszych na świecie istot nad starych kawalerów! Są to ludzie, którzy, tak samo jak inni, a nawet bardziej od innych, tęsknią do jarzma małżeńskiego, bo któżby do niego nie tęsknił, tylko że zapóźnili się z poddaniem pod nie swoich karków, a teraz ich już nikt zaprządz nie chce. Ale nieszczęście nie wyłącza ambicyi; otóż ambitnymi są starzy kawalerowie, powiadają sobie: *il faut faire bonne mine à mauvais jeu*, czupurzą się i udają szczęśliwych i zadowolonych ze swego stanu. Tak sobie powiedział i odpowiednio do tego postępuje pan Józef D., obywatel miasta Szadka, kawaler... 95 letni!...

Wyprawił on sobie jubileusz kawalerstwa, który nazwał „brylantowym." Piękne mi brylanty!

Sprosił na ucztę wszystkich znajomych sobie starych kawalerów; bawili się niby wesoło, spełniali przy uczcie toasty, między którémi był toast na cześć sióstr po nieszczęściu, starych panien.

Wszystko byłoby dobrze, tylko jedna rzecz źle wypadła, było ich trzynastu... Fatalna cyfra. To też znający miejscowe stosunki przypuszczają, że może się Judasz znaleźć między nimi. A był tam jeden, który ma dopiero lat... pięćdziesiąt!...

* **Ciekawa podróż.** W epoce lokomotyw, telegrafów i kolei żelaznych elektrycznych, w epoce nieledwie już jazdy balonowej, conajmniej oryginalnie wygląda zamiar przejechania całej Europy wszerz własnemi końmi. A jednak zamiar taki powziął p. Enski, obywatel gubernii samarskiej, który założył się, że z Samary do Paryża zajedzie własnemi końmi wprzeciągu dni 80-ciu.

I wygra zdaje się zakład, gdyż w Kielcach stanął o sześć dni nawet wcześniej, niż sobie w programie podróży założył. To też w Kielcach dał sobie półtora dnia wypoczynku, zanim w dalszą wyruszył drogę. Jedzie niewielkiemi konikami rasy kirgizkiej, które po 30 dniowej podróży wyglądały doskonale.

* **Wystawa nasion.** Muzeum rolniczo-przemysłowe warszawskie urządza piątą zkolei wystawę nasion. Jeżeli jaka, to tego rodzaju wystawa w kraju rolniczym ma swoje znaczenie i powinnaby budzić zajęcie; tymczasem poprzednie wystawy nie stwierdziły tego logicznego przypuszczenia; ani obsyłane, ani zwiedzane nie były bardzo licznie. Tem większa zatem zasługa zarządu Muzeum, że się niepowodzeniem nie zraża i, naśladując kroplę wody, która często padając w jedno miejsce, kamień nawet wyżłabia, nie traci nadziei złamania dziwnej obojętności naszego rolniczego i wogóle gospodarskiego ogółu.

Tym razem zakres wystawy będzie znacznie rozszerzony, obejmie bowiem płody cukrownictwa, gorzelnictwa, piwowarstwa, młynarstwa, wreszcie wyroby gospodarstwa domowego. Zarząd porozumiał się już co do udziału w wystawie z wielu celniejszemi w powyższych zawodach firmami. Wystawa więc powinnaby zainteresować szersze koła naszej publiczności, a już o gorącem zajęciu się nią ze strony naszych dzielnych gospodyń ani na chwilę nie wątpimy. One, jak pszczółki, wiedzą z czego mogą brać pożytek, i nigdy się nie polenią, gdy im się do tego zdarza sposobność.

* **Porada lekarska dla rzemieślników**, ma się rozumieć dla rzemieślników niezamożnych, organizuje się w mieście naszem. Grono złożone z lekarzy i ludzi dobrej woli obraduje nad tym przedmiotem i niebawem już ma być szczegółowy program działalności tej instytucyi opracowany. Członków tej „delegacyi" nie wymieniamy.

U nas tyle najlepszych, najzacniejszych zamiarów i projektów bez śladu wpada w wodę, że... że należy nazwiska tych panów ogłosić dopiero wtedy, gdy owa tak pożądana „porada lekarska" funkcyonować zacznie.

* **Stowarzyszenie ociemniałych.** Patrząc na istniejące w naszem mieście od lat 20 stowarzyszenie ociemniałych, zdaje się nieledwie, że człowiek zanadto zmysłów posiada i że dopiero brak jednego z nich doprowadza go do równowagi, do normalnego stanu, który mu z urządzeń społecznych w całej pełni korzystać pozwala.

Stowarzyszenie to, do którego inicyatywę dał ś. p. Jan Papłoński, dyrektor warszawskiego instytutu dla głuchoniemych i ociemniałych, liczy obecnie 50 członków, posiadających wspólny kapitał, 22,000 rs. wynoszący, nie licząc w to 7,000 rs. kapitału żelaznego. Oprócz tego jest kasa pożyczkowa, przychodząca wrazie potrzeby z pomocą członkom Stowarzyszenia. Mają też stowarzyszeni swoją orkiestrę, wiadomo bowiem, że muzyka jest prawie jedynym środkiem zarobkowania dla tych nieszczęśliwych. Wspomagają się tedy i zabawiają stowarzyszeni wspólnie, wzajemnie, uczciwie, zgodnie, po chrześciańsku, i mogą być zaprawdę wzorem pod tym względem dla wielu stowarzyszeń „widomych." A wszystkiem tem zarządza i kieruje siedmiu również „niewidomych," wybranych z grona stowarzyszonych, wśród których to siedmiu zasiadają i dwie kobiety. Jest więc i równouprawnienie płci, o które tyle widomych rycerek tyle kopij niepotrzebnie skruszyło!...

* **Bazar rzemieślniczy** to jeden z tych tułających się wśród nas nieszczęśliwych projektów, które, mimo niezaprzeczonej swojej praktyczności i pożytków, jakie zapewniają, nie znajdują uznania i poparcia mianowicie u tych, którymby najwięcej dobrego świadczyły, gdyby raz weszły w życie. Na nicby się nie zdało przytaczać wszystkie fazy, jakie projekt ten przechodził; dość, że wszystko rozbijało się dotąd o niemożność zebrania niewielkiego stosunkowo kapitału zakładowego.

Czy zaradzi złemu nowy projekt jednego z interesujących się sprawą „Bazaru," według którego kapitał ten ma być zebrany zapomocą akcyj 25 rublowych, płatnych ratami?...

Nie odważylibyśmy się odpowiedzieć na to pytanie twierdząco, a przecząco odpowiadaćbyśmy nie chcieli.

Co najwięcej, zaregestrować tylko możemy ten jeden więcej dowód naszych dobrych intencyj i nowemu projektowi życzyć jaknajzupełniejszego powodzenia.

* **Ś. p. Andrzej Brzeziński** zmarł w Warszawie dnia 25 Stycznia roku bieżącego. Był to jeden z najstarszych, najwybitniejszych i najzacniejszych przedstawicieli adwokatury warszawskiej. Urodził się w roku 1824 w Warszawie i, ukończywszy nauki, poświęcił się zawodowi prawniczemu na linii obrończej.

Był naprzód patronem przy trybunale cywilnym w Warszawie, następnie adwokatem przy sądzie apelacyjnym, obrońcą przy departamencie Senatu, obrońcą przy Radzie stanu Królestwa Polskiego, wreszcie w roku 1876, od czasu reformy sądowej, adwokatem przysięgłym. Na wszystkich tych stanowiskach odznaczał się niepospolitą wiedzą i zdolnością, które, w połączeniu z prawością charakteru, jednały mu wziętość i szacunek ogólny. Był też radcą prawnym wielu instytucyj warszawskich.

Zmarł nagle na anewryzm serca, pogrążając w głębokim żalu rodzinę i tych wszystkich, którzy cenili w nim znakomitego prawnika i zacnego człowieka.

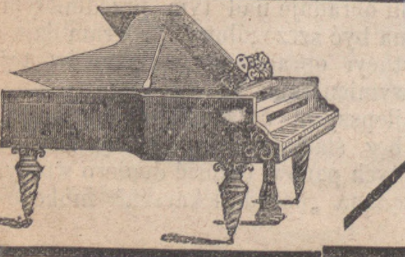
G. Cz.

☞ **Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.**

POLSKI SKŁAD NICI

i Warszaw. Fabryka Pończoch i Trykotaży
tylko na ulicy hr. BERGA 11, w Warszawie.

Posiada znaczny zapas Pończoch w najświeższych kolorach i deseniach, Skarpetek, Kamaszy męzkich, damskich i dziecinnych, Kamizelek, Chustek, Halek i Koszulek tak ciepłych jak i siatkowych. Wszystko obok najlepszych gatunków, odznacza się cenami najprzystępniejszemi. ***Koszulki Wioślarskie*** i dla ***panów Cyklistów.***
41—1212



Sprzedaż na RATY.

78—5—6

Największe Składy Instr. w Cesarstwie i Królestwie,

HERMAN i GROSSMAN,

Warszawa, Mazowiecka 16. St.-Petersburg, 33 W.-Morska.

WYNAJEM

PP. Studenci i Uczniowie za [illegible] płacą 25 proc. niżej ceny, z [illegible] kupionych 10 procent.

49. NOWY-ŚWIAT 49.

Nowo-otworzony Zakład Fryzyerski, Perfumerya i Magazyn Nowości

J. ROZDOBA,

Poleca **salony dla dam i panów** do czesania. Wszystkie wyroby z **włosów** gotowe i na zamówienia podług żądania i mody wykończa z wszelką akuratnością. **Perfumy, wody kolońskie i kwiatowe, pudry, mydła**, farby do włosów i różne kosmetyki w dużym wyborze. **Wielki wybór krawatów**, spinek i szelek w dobrym guście. Wszystkie towary w doborowych gatunkach, po cenach możliwie nizkich. 1—3—3

49. Nowy-Świat 49 (drugi dom od Wareckiej).

Dla Panów w salonie abonament miesięczny z potrąceniem 25 proc. od cen zwykłych.



Najlepszem mydłem do mycia twarzy jest:

MYDŁO Z KWIATÓW TATRZAŃSKICH.

Cena kawałka 25 kop. Cena ½ tuzina 1.25.
Wyrabia go **Warszawskie Laboratoyum Chemiczne.**

184—8—8

Pracownia Sukien i Okryć damskich przyjmuje suknie balowe, wizytowe, kostiumowe i okrycia, wykończające takowe podług najświeższych paryzkich żurnali szybko i elegancko po możliwie nizkich cenach. Udzielam lekcyi kroju sposobem ułatwionym.

16—1—6

E. Jaworska.

Nr 10 Maryańska Nr 10.

FABRYKA KWIATÓW

„IRYS,"

Poleca duży wybór takowych.

HOŻA Nr 14, miesz. Nr 7.

6—3—3

---

17. ZIELNA 17 (RÓG ZIELNEJ).

Mając pracownią sukien damskich a przytem udzielając lekcyj kroju i chcąc udogodnić Szanownym Paniom; postanowiłam dla oszczędności w budżecie wydatków domowych robić formy z bibułki Zefirami zwane, naturalnej wielkości, podług najświeższych **modeli Paryzkich i Wiedeńskich**, dla magazynów i pracowni tak na Warszawę, jak na prowincyę z czem mam honor polecić się Szanownej klienteli

J. Blizińska.

17—1—1 Uczennice przyjmują się na stałe. Ceny przystępne.

W nowozałożonej Teoretyczno-Praktycznej

SZKOLE RZEMIOSŁ DLA KOBIET

Pauliny Stokowskiej,

ulica Nowy-Świat Nr 4, w Warszawie.

Wykładane są: 1) Krawiecczyzna, krój Wortha. 2) Bieliźniarstwo. 3) Kwiaciarstwo. 4) Stroje. 5) Koronkarstwo. 6) Wyroby ze skóry i pluszu. 7) Malowanie na porcelanie. 8) Introligatorstwo. 9) Szmuklerstwo. Zadaniem zakładu jest powierzać wykłady tylko kompletnie fachowo uzdolniónym nauczycielkom i doprowadzić wykształcenie do tego stopnia, aby panie, po ukończeniu, mogły otwierać własne zakłady i z takowych mieć zapewnione utrzymanie. 48—3—6

PENSYONARKI PRZYJMUJĄ SIĘ.

W Francuzkiej Szkole Rzemiosł

Mazowiecka Nr 11,

w Warszawie.

Rozpoczęły się kursa: kroju, kapelusznictwa, szycia bielizny i krawiecczyzny, krawatów, deskowych robót, tkactwa, haftu, introligatorstwa, malowania na drzewie, glinie, atłasie, porcelanie; wypalania na drzewie; heliominiatury, barbotiny i terracoty. 179—9—10

Lornetki teatralne, Pince-nez, Okulary, Termometry, Bandaże, Suspensorya, Irrygatory, Woreczki hygieniczne, Gąbki ochronne i t. p. przedmioty najtaniej w magazynie Optyczno-Chirurgicznym, ***Juljana Drehera,*** ulica **Szpitalna Nr 6.**
181—6—10

DYPLOMOWANA SZKOŁA

Rzemiosł dla Kobiet

Eufemii Pilniakowskiej,

Chmielna № 37, róg Marszałkowskiej, w Warszawie.

Rozpoczęły się kursa: **Kroju** sukien, okryć i ubrań dziecinnych najlepszym i najłatwiejszym systemem **Vorth'a**. Malowanie na porcelanie i atłasie, Wypalania na drzewie i skórze, Heliominiatury, Barbotiny, Terracoty, Introligotorstwa, Koszykarstwa, Gypiury, Koronkarstwa, Magazynierstwa i innych t. p. Rzemiosł. Nauczycielki pierwszorzędne. **Pensyonarki przyjmują się. Lekcye Kroju codziennie, kurs rs. 10.** Patenta wydają się. 191—3—4

SPECYALNY MAGAZYN 164—5—6

OKRYĆ DAMSKICH I FUTER

A. ŁOJEWSKIEJ,

w Warszawie, ulica Bracka Nr 10.

Na nadchodzący sezon został zaopatrzony w wielki wybór okryć: kortowych, syberynowych, pluszowych, żakietek i dolmaników, szub na wacie i futrach, garniturków futrzanych i fantazyjnych oraz znaczny wybór materyałów okryciowych, z których przyjmuje obstalunki na powyższe rzeczy, zapewniając dobrą i elegancką robotę. **Ceny możliwie nizkie.**

NOWO-OTWORZONA FABRYKA

Gorsetów ANETY

Mazowiecka Nr 20. 70—6—6

Poleca wybór gorsetów gustownie i starannie wykonanych, podług ostatnich modeli paryzkich, począwszy od rs. 2

Magazyn Strojów,

sukien, okryć i ubranek dziecinnych. Przyjmuje wszelkie roboty w zakres toalety damskiej wchodzące, z własnych lub powierzonych materyałów, po cenach przystępnych. 167—4—6

Z Łazarewiczów Marya

Bernatowicz.

Szpitalna Nr 5, w Warszawie.



Specyalna Fabryka Gorsetów Hygienicznych

104
3—4

Józefiny Knoff.

Wybór gorsetów najświeższych fasonów paryzkich i we wszelkich gatunkach materyałów. Obstalunki wykonywa w przeciągu 24 godz. po cenach przystępnych.

Marszałkowska 141 (wprost Rysiej).

Pracując przez lat 12 -ie w Magazynie

W-go B. HERSEGO

w charakterze starszej upinaczki,
otworzyłam obecnie pracownię

Sukien i Okryć damskich

przy ul. Bielańskiej Nr 23.

Polecam się łaskawym względom Szanownej Publiczności.

14—1—2 ***Kazimiera.***

PIERWSZA W KRAJU FABRYKA

MATERACY Z WEŁNY DRZEWNEJ

A. Kaszyńskiego i K. Gadomskiego

Królewska Nr 17.

Przekonawszy się, że wełna sosnowa z drzewa jest zdrowszą od wełny osikowej, zakupiła znaczny transport najlepszej wełny sosnowej z innego źródła, taniej jak dawniej, skutkiem czego obniża cenę materacy z wełny drzewnej sosnowej, **płóciennych od rs. 3, drelichowych od od rs. 4 kop. 50.**
62—3—6

LEKARZ-DENTYSTA

M. Silbersztein-Kamiński,

Graniczna Nr 10, w Warszawie.

Wprawia sztuczne zęby po możliwie przystępnej cenie, leczy choroby szczęk i zębów biednych bezpłatnie w Niedziele i Wt[illegible] godziny 9-ej do 11-ej.
2—2—6

Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Января 1891 г.

Redaktor i Wydawca **Emil Skiwski.**

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Dodatek.

Opis do N-ru 5.

(*Dokończenie.*)

N. 21. Kostium „Powietrze.“ Deseń fig. 75.

Krótka suknia z błękitnego atłasu, przykryta suto nafałdowaną draperyą z białej gazy lub cieniutkiego tiulu, podpiętą z czterech stron czterema główkami skrzydlatych aniołków dmuchających, jako upostaciowanie wiatru, f. 75 daje rysunek jednej główki, którą maluje się na atłasie akwarellą, podkleja i wycina. Jasno błękitny bawetowy stanik w złote gwiazdy, otoczony wokoło wykroju fałdowaniem z gazy, z której nabufowane są króciutkie rękawki i welon przerzucony nakształt obłoku podtrzymanego skrzydłami przewleczonemi drucikiem. Na głowie opaska złota z takiemiż lub brylantowemi gwiazdami, osadzonemi na chwiejących się drucikach; na prawem ramieniu para jaskółek. Błękitne jedwabne pończochy i takież trzewiczki zdobne motylkami.

N. 22. Kostium „Ziemia“.

Spodnia suknia z zielonej materyi zaplisowana w fałdy przykryta rodzajem wolnej tuniki, krajanej z długim trenem z ciemnej materyi, ozdobionej u dołu szlakiem z różnokolorowych kamieni, rozmaitych kształtów i wielkości, które kupują się gotowe do naszywania. Takiż szlaczek węższy zakończa wykrój stanika. Tunika z lewego boku podpięta pękiem kłosów i kwiatów polnych; na głowie wianek z kłosów przyciska długi welon z zielonej krepy. W ręku kosz owoców i kwiatów.

N. 23 i 37. Fartuszek z szerokiem wyszyciem.

Uszyty z prostego 70 c. szerokiego kwadratu kolorowej weby, zakończony jest u dołu 4 c. szerokim obrębem, nad którym dane wyszycie białą bawełną ściegiem płaskim, na podłożeniu kanwy dla obliczenia deseniu. Ryc. 37 daje połowę deseniu w naturalnej wielkości. Górny brzeg jest cztery razy przemarszczony do 17 cent. szerokości; końce do wiązania po 78 c. długie, $5^1/_2$ c. szerokie.

N. 26 i 29. Szlafroczek z wyszyciem. Krój i deseń N. XVII.

Uszyty z granatowej wełny formą princesse, ma przody i boki krajane w całej długości a plecy krótkie dopełnione prostym brytem *d* zmarszczonym w górze. Fig. 72 daje deseń wyszycia z czarnego sutaszu, odznaczającego części kaftanikowe; podobne wyszycie zdobi kołnierz, rękawy i pasek. Ryc. 29 przedstawia taki szlafroczek bez wyszycia.

N. 27. Szlafroczek z bluzkowemi rękawami.

Dopasować go można podług formy danej do r. 28; model był z ponsowej flanelki i miał wykładany kołnierz 12 c. szeroki i 9 c. szerokie paski przy rękawach pokryte czarnym jedwabnym repsem. Na rękawach wyszyty maszynowo rzut (po $4^1/_2$ c. średnicy); zamiast paska sznur z pomponami.

N. 28 i 30. Szlafroczek z chusteczkowem przybraniem.

Odrobiony z kolorowej flanelki, kraje się powłóczysto i podszewkuje w górze na długość zwykłego stanika; części chusteczkowe krają się w jednym ciągu z przodami i odwijają nakształt ranwersów, materyał zbywający przy pleckach składa się w fałdy zwrócone do spodu. Wystający brzeg dolny części chusteczkowych zfałdowywa się ściśle, górny przymarszcza się i od gwiazdki do V przyszywa do podszewki kołnierza f. 15. Brzeg przybrania jakoteż rękawy zdobi dwojaka falbanka, czarna i ponsowa, 7 i 8 c. szeroka, wycięta w ząbki. Kokarda z czarnej aksamitki 4 c. szerokiej.

N. 31—34. Kaftaniczek włóczkowy. Krój i plecy N. XI.

Materyał: włóczka nowego rodzaju łabędzio-kastorowa.

Ryc. 32—33 przedstawiają w naturalnej wielkości próbki nowego ściegu szydełkowego, zwanego „punto Edda,“ który odrabia się rzędami tam i napowrót, a każde dwa rzędy, mijając się z sobą, stanowią deseń. W pierwszym rzędzie robić naprzemian 1 o. śc., 2 o. pow.—oczka ścisłe jak to widać na r. 32 zajmują się za obie zwierzchnie nitki oczek poprzedniego rzędu; przy zaczęciu opuszczać trzeba po dwa o. łańcuszka. (2 rząd: * w ścisłe oczka poprzedniego robić znów o. śc. zajmowane za cały wierzch o., dalej w o. pow. zajmując za tylną nitkę przewleka się pentelkę, a drugą przewlec trzeba za oczko, (nitka tylna) poprzedniego rzędu. Dla lepszego zrozumienia jak zajmować pentelki na r. 33 oznaczyliśmy je numerami i strzałkami; trzy na szydełku będące pentelki przerabia się razem, podług długiej strzałki na r. 33; przerobiwszy 1 o. pow. powtarzać od gwiazdki. — Wszystkie części kaftanika wykroić trzeba z papieru podług f. 54—57 i odrabiać je oddzielnie, przykładając do formy; robotę zaczyna się od dołu. Skończone części zrabia się z sobą od lewej strony; rękaw od gwiazdki do dwukropka trzeba przymarszczyć.



N. 1. Suknia z gorsecikiem. Patrz ryc. 3. N. 2. Suknia koronkowa. Patrz ryc. 4 w N. 5. Krój N XVIII. N. 3. Suknia z gorsecikiem. Patrz ryc. 1.

Brzegi kaftanika zakończone są ząbkami przedstawionemi na r. 31; układają się one z * 1 o. śc., 4 o. pow. dalej trzy razy naprzemian jedno zarzucenie nitki na szydełko i jedna pentelka (zajęta w to samo oczko), wszystko to razem przewleka się jednem oczkiem i tworzy muszkę, 3 o. pow. Powtarzać od gwiazdki. Ścieg „punto Edda“ przedstawia się jednakowo na obie strony.

Opis do N-ru 6.

N. 1 i 3. Suknia z gorsecikiem.

Spódnica podszewkowa zakończona u dołu plisowaniem 5 c. szerokiem, przykrywa się zwierzchnią zupełnie gładką lecz mającą tę oryginalność, że tylne powłóczyste bryty krajane są w jednym ciągu z plecami stanika, zaplisowanemi w całej długości (patrz r. 3); bryty te przypinają się krytemi haftkami do sukni. Stanik z podłużnym wykrojem, ma wzdłuż przodów dodane marszczenie z kawałka 35 c. szerokiego, przyciśnięte u dołu gorsecikiem z pasmanteryi z perełkami. Gorsecik liczy z przodu 21, z tyłu 15 c. długości i złączony na ramionach bretelkami 4 c. szerokiemi. Tylne bryty sukni liczą po 54 c. szerokości i jak to powiedzieliśmy wyżej krają się w jednym ciągu z plecami zfałdowanemi w górze do 22 c. w pasie do 5 c. szerokości, u dołu rozsuniętemi w tren. Kołnierz 8 c. szeroki, ułożony w kontrafałdy z oddzielnego podwójnie wziętego kawałka. Rękawy na ramionach wysoko odstające i bufiaste, u ręki prawie obcisłe. Model sukni był z ponsowej popeliny, gorsecik z pasmanteryi tegoż koloru bogato naszytej świecącemi perełkami.

N. 2. Suknia koronkowa. Patrz r. 4 w N. 5. Krój N. XVIII.

Może być zupełnie czarna, lub, co modniejsze, dana na kolorowej materyi. Spódnica podszewkowa gładka, z krótkim trenem, przykrywa się najpierw brytami materyi, krajanemi podług *a* i *b* na f. 73, przedni bryt ma zaszewki zastosowane podług figury, tylny zaś ściśle zfałdowywa w górze (patrz rycina 4 w N. 5). Zwierzchnie pokrycie przedstawia na grubem tle tiulowem aplikacyę z aksamitu i koronki w duży deseń, dolny brzeg wycięty w zęby, spadające na riuszę z piór czarnych 5 c. szeroką. Pokrycie to wymierza się podług *c* na f. 73 i podług znaków w ten sposób przyczepia na sukni, że tren zostaje odkryty. Gładki stanik przykryty koronką, ma suty żabot z kolorowej krepy jedwabnej; takież bufki u dołu rękawów. Przody obciśnięte wstążką, związaną z lewego boku w sutą kokardę.

N. 4. Czepeczek dla osoby w podeszłym wieku. Krój N. VI.

Forma bardzo właściwa dla starszych osób, nadaje się zarówno do tańszego lub droższego materyału; model czepeczka, przedstawionego z przodu na r. 5, był z najcieńszego haftowanego tiulu. Fig. 36 daje połowę podstawy ze sztywnego tiulu, oszytej drucikiem i objętej wstążeczką, na niej przyszyty pasek z mory lila (f. 37) przykryty prawdziwą koronką, z którą schodzi się pokrycie denka f. 38, krajane w jednym ciągu z końcami i zfałdowane podług znaków. Brzegi wokoło oszyte tą samą koronką, co na pasku.

N. 5. Ubranie strojne dla osoby w podeszłym wieku. Krój N. VII.

Jakkolwiek osoby w podeszłym wieku usuwają się już od zebrań towarzyskich, to jednak bywają uroczystości rodzinne, od których uchylać się nie mogą i muszą brać w nich udział, przybrawszy się strojnie. Najodpowiedniejsze ubranie stanowi suknia z ciemnej ciężkiej materyi, ozdobiona wspaniałą koronką, jak to widzimy na r. 5. Fason sukni zupełnie odpowiedni i na domowe ubranie, gdyż uwzględniając wiek i bacząc na wygodę, suknia jest dość szeroka, bez żadnych upięć bez obcisłe-



N. 4. Czepeczek dla osoby w podeszłym wieku. Patrz ryc. 5. Krój N. VI.

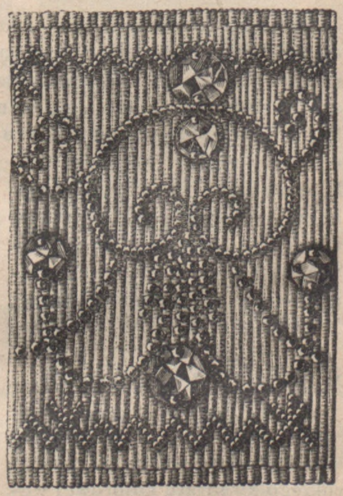
go zapięcia stanika lecz formą luźnego vêtement. Przód sukni dany z jaśniejszej materyi, zakończony szerokim wolantem; fałdziste tylne bryty przedłużone w mały tren. Vêtement kraje się podług wymiaru na f. 39 i składa się z krótkich przodów zapiętych środkiem i długich krajanych w jednym ciągu z boczkami. Brzegi przodów, podłożone, zostawiają miejsce na żabot koronkowy, ułożony z marszczonej koronki, na podstawie ze sztywnego tiulu, 23 c. długiej, 17 c. szerokiej. Na wcięciu stanu długie przody łączą się wstążką lub paskiem, a w górze podług gwiazdek przyczepiają na krótkich. Plecy dopełnione prostym brytem krajanym powłóczysto i w górze złożonym w kontrafałdy lub zmarszczonym. Wokoło wykroju szyi dana szeroka koronka tworzy jakby pelerynkę; rękawy lekko przymarszczone na ramionach, u dołu zszyte koronką. Czepeczek opisaliśmy przy r. 4.



N. 5. Ubranie strojne dla osoby w podeszłym wieku. Krój N. VII.



N. 6. Sukienka z marszczonym stanikiem. Patrz ryc. 31. Krój N. III.



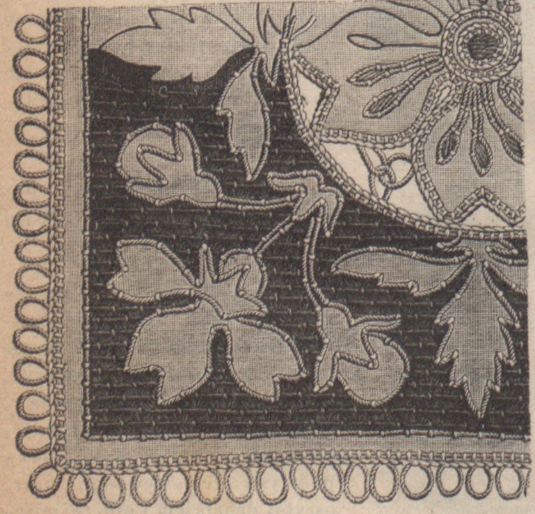
N. 11. Szlak wyszyty perełkami i szlifowanemi szkiełkami do sukien.

N. 6 i 31. Sukienka z marszczonym stanikiem dla dziewczynki lat 4—6. Krój N. III.

Spódniczka podszewkowa 35 c. długa, zakończona plisowaniem z ponsowej wełny, przykryta zwierzchnią z granatowej wełny, zmarszczona w górze. Stanik zszyty ze spódniczką kraje się podług formy N. III; linia kroju na fig. 16 oznacza formę gładkiej podszewki przodów, zapinanej środkiem na haftki, zaś linia cienka oznacza krój materyału zwierzchniego, danego w jednym ciągu na obie połowy przodu aż do boczków, jak to przedstawia fig. 16a. U góry i u dołu przemarszczony kilkakrotnie przód ten z prawego boku wpuszcza się w szwy stanika, z lewego zaś zakończa wypustką i przypina krytemi haftkami na ramieniu i pod pachą z boku. Fig. 18a daje gładką podszewkę pleców, fig. 19a wierzch u góry zfałdowany u dołu zmarszczony aż do linii cienkiej. Rękawy bufiaste zakończone sztylpą fig. 21, przyszytą od k do u do zmarszczonego dolnego brzegu. Kołnierz wykładany i stojący, pasek i sztylpy są z ponsowego materjału, stebnowane kilkakrotnie wokoło brzegów.

N. 7—8. Poduszeczka na toaletę.

Liczy w kwadrat 18 cen. i jest najpierw pokryta gładko kolorową materyą i zakończona na rogach dużemi jedwabnemi pomponami, z których wysuwają się trzy kwaściki. Ozdobne przykrycie zwierzchnie stanowi kwadrat, wykończony oddzielnie i przyczepiony na poduszce. Na r. 8 kwadrat ten był z białej kanwy kongresowej (17 cent.) obrębiony 1 cent. szeroko i zakończony kwaścikami z białego jedwabiu, tło pokryte haftem płaskim, białym jedwabiem, którym wiązana także kratka ażurowa. Rycina 7 daje w naturalnej wielkości czwartą część kwadratu, odpowiedniego do przykrycia poduszeczki; tu tło stanowi cienkie płótno białe, na którem trzeba wyrysować deseń. Środek zajmuje duża gwiazda haftowana jedwabiem żółtym, lila i nitką złotą, wokoło niej tworzy się jakby rama, w której deseń zostaje płócienny, obwodzony nitką złotą a całe tło wyszyte jedwabiem haftem renaissance, na którym przeciągane zwierzchu nitki tworzą desenik pikowy. Wokoło brzegów kwadratu pikoty złote przydziergane jedwabiem.



N 7. Czwarta część kwadratu. Haft renaissance. Odpowiedni do ryc. 8.



N. 8. Poduszeczka na toaletę.



N. 9. Szlaczek do ryc. 10.



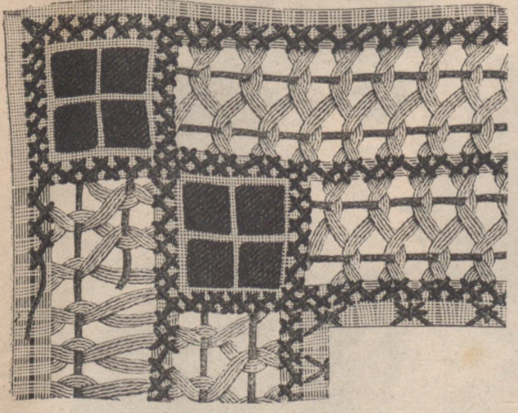
N. 10. Przykrycie na bańkę do ogrzewania nóg. Patrz ryc. 9.

N. 9—10 Pokrycie na bańkę do rozgrzewania nóg.

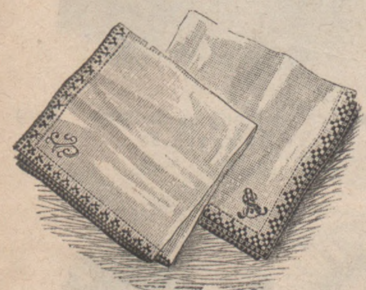
Uszyte z białej flaneli, ma brzeg górny zakończony ponsowem dzierganiem w ząbki, pod któremi obrabiają się dziurki do przewleczenia sznura, dawane w odstępach 2 cent. O 12 cent. poniżej dany wokoło szlak wyhaftowany jedwabiem ponsowym podług r. 9, przedstawiającej część deseniu w naturalnej wielkości.

N. 11. Szlak do sukien.

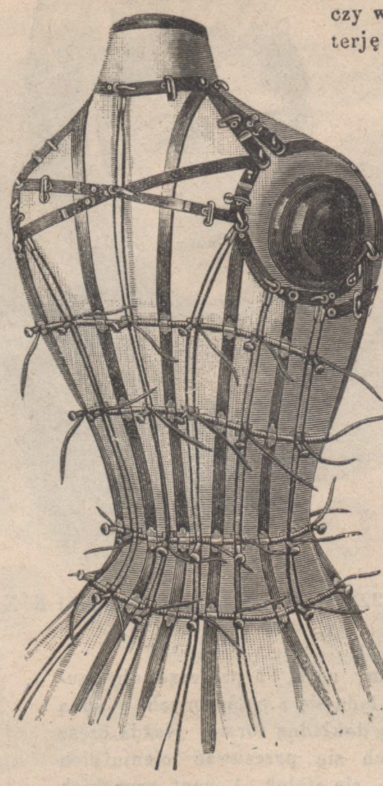
Odpowiednio do jakiej sukni ma służyć, do balowej czy wizytowej trzeba dobrać materję na tło, rodzaj perełek i kolor kamieni; r. 11 przedstawia szlak wyszyty na materyi w prążki białe ze złotem, perełkami złotemi i stalowemi i różnej wielkości szkiełkami szlifowanemi, naśladującemi drogie kamienie.



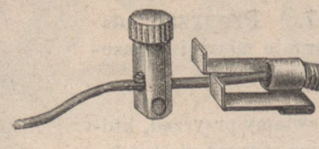
N. 12. Kratka ażurowa do ryc. 18



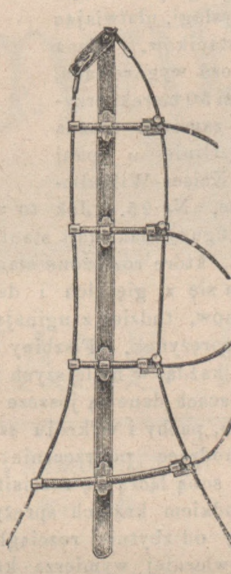
N. 13—14. Chusteczki batystowe z kolorowem wyszyciem. Patrz ryc. 24—25 w N. 5.



N. 15. Przyrząd do brania miary. Patrz ryc. 16—17.



N. 16. Sprężynka przewleczona rzemykiem. Do ryc. 15.



N. 17. Boczek do ryc. 15.

N. 12 i 18—19. Serweta z kolorowem haftem, do stołowego pokoju.

Tło stanowi płótno domowej roboty, brzegi wokoło obrębione na 2—3 cent. szeroko; wyżej nad obrębem ozdobione szlaczkiem z kratki ażurowej, przedstawionej w naturalnej wielkości na r. 12. Potrzeba go zacząć wyciągnięciem dwóch nitek, zostawić pięć nitek, wyciągnąć dwa razy po 22 nitek, przedzielonych pięcioma zostawionemi i u góry znów po pięciu nitkach wyciągnąć dwie. Niezmiernie łatwe wiązanie kratki bawełną bronzową trzeba obliczyć podług r. 12. Poprzeczne brzegi zdobi haft wykonany ściegiem płaskim bawełną kolorową, do którego deseń daje r. 19 (większą połowę). Zakończenie stanowi szydełkowa koronka 5—6 cent. szeroka, ozdobiona frendzlą 10 cent. długą, wiązaną w oryginalny sposób z grubej bawełny. Szczegółowy opis frendzli podany był w pierwszym kwartale przeszłego roku; można ją dać białą lub w tych samych co haft kolorach.

N. 13—14. Chusteczki z hafcikiem kolorowym. Patrz ryc. 24—25 w N-rze 5.

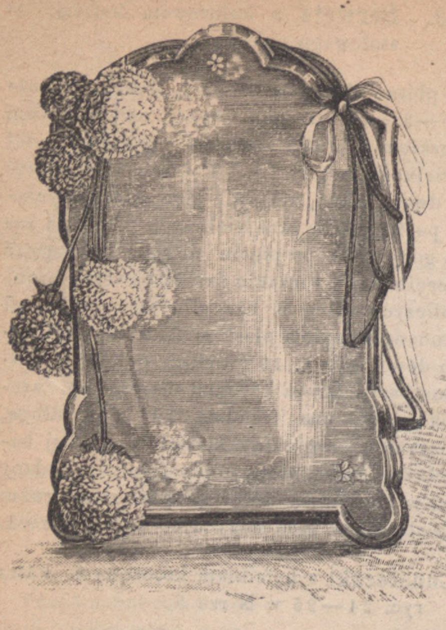
Krajane z cienkiego batystu liczą w kwadrat po 35 c.



N. 18. Serweta z kolorowym haftem. Patrz ryc. 12 i 19.



N. 19. Haft do ryc. 18.



N. 20—21. Lustro bez ram ozdobione kwiatami.

i zakończone są obrąbkiem 1 c. szerokim, na którym dane wyszycie cienką kolorową bawełną, podług ryc. 24—25 w N. 5. Dla ułatwienia podkłada się cienką kanwę; w pierwszym szlaczku trzy górne krzyżyki są ponsowe, w dolnym rzędzie krzyżują się ściegi granatowe z żółtemi. W drugim brzeg odziergany ponsowo a wyżej dane muszki granatowe i krzyżyki żółte.



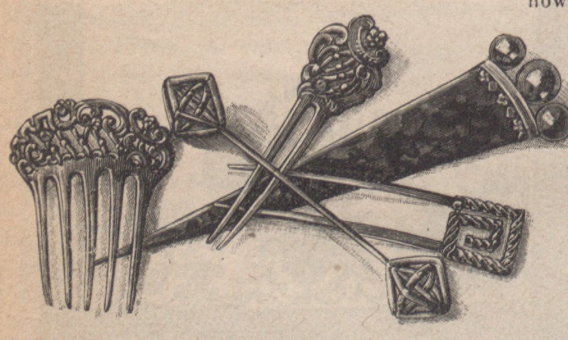
N. 22. Kapturek jedwabny. Krój N. XIV.



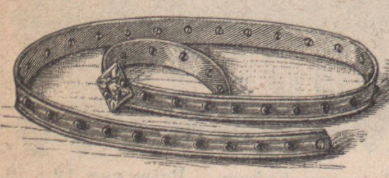
N. 23. Kapturek robiony na drutach. Krój N. XV. Patrz ryc. 38.

N. 15—17. Przyrząd ułatwiający branie miary i dopasowanie formy.

Przedstawiamy przyrząd, który za granicą zaczyna się bardzo rozpowszechniać i w pracowniach dużych magazynów wielkie oddaje przysługi, ułatwiając dopasowanie staników. Cena nowości tej dość wygórowana, wynosi 50 marek; przyrząd zamówić można w Berlinie u pani Horn Kaiser-Wilhelmstrasse, Nr 25. Jak to widzimy na r. 15 przyrząd obejmujący figurę nakształt stanika składa się z połączonych z sobą części, które rozłożone stanowią dokładną formę. Każda część składa się z giętkich i dających się przesuwać cieniutkich fiszbinów, tudzież z uginających się stalek 1 cent. szerokich i ze sprężynek. Fiszbiny użyte na kontury, stalki utrzymują część każdą, w mniejszych idąc wzdłuż środkiem, w przodach i w plecach dane są jeszcze poprzecznie u góry; linie brzeżne ramion, pachy i wykroju szyi także są ze stalek. Sprężynki przechodzące poprzecznie naginają stalki podług figury. Wszystkie części między sobą łączą się rozmaitego rodzaju haftkami i haczykami (patrz ryc. 15—17); środkiem krętych sprężynek przechodzi mocny rzemyczek skórzany, zabezpieczający od zbytniej rozciągłości. Przez dokładne nastawienie sprężynek aparat jaknajwierniej wymierza kształty figury, tylko trzeba uważać, aby środek pleców i przodów nieusunął się lecz wypadał właściwie.



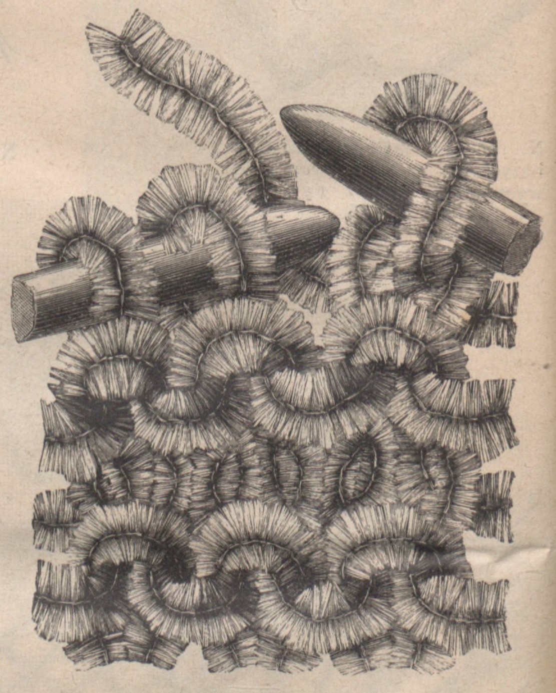
N. 24—28. Grzebień i szpilki ozdobne



N. 29. Pasek z taśmy złotej zdobny koralami, do sukni balowej.

N. 20—21. Lustro bez ram, ozdobione kwiatami.

Obecnie lustra bez ram wyrabiane w rozmaitej wielkości modne są do postawienia na toalecie. Tafla z grubego szkła ze szlifowanemi brzegami opiera się na podstawie drewnianej, do której przyszrubowana jest pięcioma szrubkami, których czubki przykryte ozdobnemi rozetkami kryształowemi. Oryginalne przyozdobienie lustra składa się z gałązek sztucznych kwiatów na miękich gumowych łodyżkach, związanych różową repsową wstążką w dwóch cieniach. Można tu zastosować kwiaty z bibułki opisywane w Tygodniku Mód.



N. 38. Robota na drutach do ryc. 23.



N. 37. Ząbki szydełkowe i tło na drutach do ryc. 4.

N. 22. Kapturek jedwabny. Krój N. XIV.

Jakkolwiek coraz więcej wchodzą w użycie szaliki i zarzutki na głowę, jednak wiele osób uważa za praktyczniejsze i woli jako cieplejsze kapturki upięte na sztywnej podstawie. Fig. 66 daje połowę rondka ze sztywnego tiulu, czy muślinu, pokrytego białą materyą, do którego przypina się główka fig. 67. Zwierzchnie pokrycie trzeba wymierzyć podług fig. 68; składa się ono z trzech, jeden na drugim położonych materyałów: miękiej białej materyi, białej crêpe de Chine i białej gazy w bukiety lila. Wszystkie trzy są razem podług linijki kropkowanej podwinięte pod spód, dalej zebrane w kontrafałdy podług znaczków i, składając gwiazdką do gwiazdki, przyczepione na podstawie. Karczek stanowi także z potrójnego materyału złożony prosty kawałek, 13 c. szeroki 175 c. długi, u góry zmarszczony odpowiednio do obwodu szyi.

Dokończenie nastąpi.



N. 30. Kaftanik półwcięty. Patrz ryc. 32. Krój N. IV. — N. 31. Sukienka z marszczonym stanikiem. Opis przy ryc. 6 Krój N. III.—N. 35. Plecy do ryc. 30.—N. 33—34. Płaszczyk z pelerynką i czapeczka włóczkowa dla dziewczynki. Patrz ryc. 37. Krój N. XVI.—N. 35. Suknia naszyta wązką aksamitką.—N. 36. Ubranie dla chłopczyka lat 3—4. Krój N. XII.